21 IX 38 CENA 25 GR

SPORT POLSKI

ROK II TYGODNIK Nr 38



Foto Jan Ryś

W NUMERZE:

Walasiewiczówna zdobyła w Wiedniu 2 mistrzostwa Europy



GDZIE SĄ WETERANI?

Kilkanaście lat temu byliśmy w dziedzinie sportu nowicjuszami, wpatrzonymi w niedościgłe zdawałoby się wzory zagraniczne. Dziś jest inaczej: jakość naszych wyników podniosła się tak, że walczymy jak równi z równymi z narodami o najstarszej kulturze sportowej. Mamy asów o sławie międzynarodowej, mamy rekordzistów światowych. Nasza armia sportowa pokaźna jest tak ilościowo, jak i jakościowo.

Brakuje w niej jednak kategorii na pozór małoważnej, w rzeczywistości zaś jednej z najistotniejszych; nie mamy weteranów, nie mamy sportowych old-boy'ów.

Nie dlatego, by było jeszcze za wcześnie, byśmy nie posiadali jeszcze sportowego „starszego pokolenia". Owszem, mamy je. Tylko — ono się od czynnego udziału odsunęło, pracuje najwyżej organizacyjnie, ale stawać do zawodów, względnie choćby tylko trenować już nie chce.

Mało kto u nas uprawia sport dla zdrowia, dla podtrzymania fizycznej sprawności i większej zdolności do pracy, wreszcie dla tych rozkoszy, jakie daje samo zażywanie ruchu. Celem prawie wyłącznym jest święcenie gromkich triumfów, zdobywanie sławy i cennych nagród, ustanawianie rekordów. Z chwilą, gdy okres świetności przeszedł, zawodnik zdecydowanie idzie na emeryturę, nieraz nawet starając się „odrobić" w knajpach to wszystko, co „stracił", przymuszając się w okresie treningu do higienicznego trybu życia.

Podobnie ocenia cele sportu szerszy ogół, gotowy wyśmiać 50-letniego pana, który by odważył się na bieganie w krótkich spodenkach. Nie chce on zrozumieć, że ten starszy pan wcale nie marzy o konkurowaniu z Zasłoną czy też Nojim, ani o pobiciu własnych rekordów z przed lat — a tylko uważa, że codzienny seans truchcikowy doskonale wpływa na ducha i ciało, pozwoli zachować pewne minimum zwinności i sprężystości w wieku podeszłym i... czuć się do końca życia młodym.

Zagranicą takich „starych młodzieńców" jest legion. Nie wstydzą się trenować publicznie, stają chętnie do zawodów — oczywiście w swoim gronie. Rozgrywany rok rocznie w Paryżu bieg na przełaj „staruszków" (kategorie od 50—60, od 60—70, ponad 70 lat!) zbiera po kilkadziesiąt zgłoszeń, i nikomu nie przychodzi do głowy ironizować na temat siwowłosych zawodników, z których niejeden był przed trzydziestu laty wielką gwiazdą, ani też im samym nie przychodzi do głowy, by postępowanie ich miało być w czymkolwiek nieodpowiednie. Widzą w sporcie nie tylko rozrywkę i nie tylko sposób zaspokojenia ambicji, lecz przede wszystkim środek podtrzymania sprawności.

Kultura fizyczna, ograniczająca się do oddziaływania na młodzież — spełniałaby swą rolę tylko w części. Czyż z punktu widzenia ogólnych interesów kraju — które i dla klubów sportowych muszą stać na samym przedzie — troska o przedłużenie okresu sprawności cielesnej nie jest bardzo a bardzo ważna?

Nie wyszydzajmy old-boy'ów, otaczajmy ich szacunkiem, zasilajmy, gdy pora nadejdzie, ich szeregi. Pamiętamy pozatem, że armia bez weteranów — to armia bez tradycji, a więc i bez przyszłości.

WIKTOR JUNOSZA.



OBROŃCA

W liniach obronnych drużyny piłkarskiej uznaniem publiczności cieszy się para graczy za to, że długimi, górnymi wykopami, z ziemi czy z powietrza, nogą lub głową wysyła piłkę daleko w pole. To jakby dwie dalekonośne armaty!

To są obrońcy.

Na tę pozycję dobiera się ludzi silnie zbudowanych i wysokich, a to dlatego, że terenem ich działania jest gorąca okolica pola karnego, gdzie w czasie nieprzyjacielskiego naporu mocno trzeba stać na nogach, nieraz ciałem swoim zagrodzić drogę do bramki, albo w podskoku, głową wyłapywać górne piłki.

Najistotniejszą cechą obrońcy jest **daleki wykop,** wykonywany dowolną nogą, z każdej pozycji. Obrońca bez oswobadzającego wykopu nie cieszy się uznaniem i sławą, choćby posiadał wszystkie inne przymioty gracza i grał skutecznie. Bo tylko daleki, długi lot piłki pozwala widzowi, nękanemu obawą o bramkę swoich, odetchnąć z prawdziwą ulgą i wdzięcznością. Poza tym taki wykop olśniewa jak kolorowa rakieta. Za jedno dobre kopnięcie obrońcy nieraz wybacza się jego błędy w grze.

Do wykonania wykopu, podobnie jak do rzutu kulą czy dyskiem, potrzebna jest praca całego ciała, a nie tylko nogi, niezależnie od tego, czy jest to wykop boczny (klasyczny), czy frontalny (nowoczesny).

Pierwszy z nich, wiekiem grubo starszy, czyni z ciała gracza machinę do dalekiego a spokojnego wykopywania piłki, opartego na zasadach działania siły i dźwigni. Jego pozycją wyjściową jest: bark jeden wychodzi do przodu, ciało skręcone do tyłu w biodrze, odpowiadającym nodze kopiącej, która właśnie znajduje się daleko za przednią, lekko ugięta w kolanie. Rozpoczynając wykop, noga ta wychyla się najpierw wstecz ruchem wygarniającym, przy czym kolano i stopa skierowane są raczej w bok niż w dół, potem wraca, kolano i stopa zwracają się w dół i do przodu, stopa chwyta piłkę, wysunięty bark wraz z ręką cofa się do tyłu, gdy równocześnie kolano oraz bark i biodro, dotychczas cofnięte w tył, wysuwają się do przodu, a noga podpierająca wypręża się i staje na palcach. Tym sposobem kopnięta piłka ma lot **miękki, powolny ale daleki.** Do fenomenalnych wyników w tym wykopie doszedł słynny swojego czasu obrońca „Wisły“ Cepurski, który dzięki silnemu wyciąganiu nogi do tyłu, umiał wysyłać z powrotem w pole piłki, idące na niego nawet na wysokości piersi. Nie da się zaprzeczyć, że wykop boczny trwa stosunkowo długo i z tego powodu może zawieść, gdy sytuacja wymaga pośpiechu. Podobnie więc jak w tenisie, w piłkarstwie również oglądnięto się za sposobem przyspieszenia momentu wysłania piłki do przodu. W tym celu zaniechano silnego skrętu ciała w biodrze i cofania nogi głęboko w tył. Kopiąc piłkę ustawia się frontalnie tj. oba biodra leżą na jednej linii prostopadłej do zamierzonego kierunku wykopu, zaś noga zgina się silnie w kolanie, pięta podnosi się do tyłu, a podudzie ustawia się do uda pod bardzo ostrym kątem. Po tym wymachu następuje ruch wahadłowy uda w dół i do przodu. Gdy kolano znajduje się na przedłużeniu osi pionowej ciała, podudzie, porwane ruchem uda zatacza łuk w dół i do przodu, stopa uderza gwałtownie w piłkę.

Niewielu tylko obrońców w Polsce wykonuje poprawnie wykop tym stylem. Większość ogromna kopie samym tylko podudziem i to odwiniętym do tyłu niezupełnie.

Rozumny obrońca **nie nadużywa długiego wykopu,** który nawet najlepiej wykonany, rzadko jest podaniem pożytecznym dla własnej linii ataku. Gdy nie jest przez nikogo napastowanym, obrońca winien zastopować piłkę i **podać ją spokojnie któremu z nieobstawionych pomocników.** W ten sposób piłka dochodzi o wiele pewniej i wygodniej do linii ataku, niż przy pomocy efektownego wprawdzie, ale trudnego do przyjęcia dalekiego wykopu. Interes drużyny w tym wypadku jest ważniejszy niż poklask lubiącej bomby publiczności.

Obrońca, jak żaden inny gracz drużyny, musi niezmiernie uważnie śledzić przebieg gry i wciąż ustawiać się w pobliżu przypuszczalnej linii lotu piłki, aby móc **momentalnie wkroczyć.** Z tego powodu nie chodzi on po stałej linii równoległej do długości boiska, ani nie ustawia się na równej wysokości ze swoim kolegą, lecz zawsze idzie w bok i do przodu, zależnie od tego, gdzie potrzebna będzie jego interwencja. Jeżeli przeciwnik prowadzi atak np. lewą stroną, wówczas prawy obrońca wysuwa się bardziej do przodu i więcej w stronę skrzydła, lewy zaś nie zostaje na swoim zwykłym miejscu, lecz również przysuwa się nieco w stronę gry, zachowując rezerwę.

Szczególnie ważną jest współpraca obrońcy ze swoim bocznym pomocnikiem gdy chodzi o zlikwidowanie ataku, idącego skrzydłem. Obrońca widzi, że przeciwnik wypuszcza swemu skrzydłowemu piłkę „na plecy“ pomocnika, biegnie natychmiast na zagrożone miejsce i albo przejmie piłkę, albo w najgorszym razie zagrodzi drogę skrzydłowemu. Za to pomocnik winien **natychmiast zająć miejsce, opuszczone przez obrońcę.** Taka interwencja dla obrońcy nie przedstawia większych trudności, gdy przestrzega on zasady taktycznej, nakazującej mu stać bliżej skrzydłowego, który jest właśnie w grze. Często już samo dobre ustawienie obrońcy skłania przeciwników do zaniechania gry tym skrzydłem. Ale ogromnym błędem taktycznym jest równocześnie stałe obstawianie obu skrzydłowych ataku przez obrońców. Wtedy bowiem w linii obrony powstaje niezmiernie szeroka brama, w której atak przeciwnika może operować ze znaczną swobodą.

Po przełamaniu linii obrony i wyjściu przeciwnika na jej tyły, bramce grozi katastrofa. Mając to na uwadze, obrońca musi być przy całej energii wkraczania bardzo ostrożny. Zgodnie z ogólnymi zasadami taktycznymi, musi on bezwzględnie atakować przeciwnika, który biegnie w jego stronę do wypuszczonej dość silnie piłki, albo właśnie ją przyjmuje. Nie wolno mu jednak atakować gracza, który stoi w miejscu, z piłką już opanowaną, albo biegnie z nią krótko przy nodze. W takim wypadku najlepiej jest straszyć symulowanym atakiem, zbliżać się i cofać się na przemian na linii przypuszczalnego podania. Takie postępowanie napawa przeciwnika niepewnością, paraliżuje jego inicjatywę, powoduje zwłokę w jego decyzji i pozwala innym współgraczom skupić się dla odparcia ataku.

Nawet najlepszy technik, ale słaby taktycznie, jest lichym obrońcą. Dopiero wykazane **umiejętności taktyczne** stanowią o jego wartości na tym stanowisku. **Edmund Marion.**



NIEMIECKA LEKKA ATLETYKA

Niemieccy lekkoatleci zdobyli drużynowe mistrzostwo Europy na mistrzostwach w Paryżu. Niemiecka drużyna była jedną z **najliczniejszych.** Niemcy pozostawili nieobsadzonymi jedynie biegi 1500 i 5000 mtr i skok wzwyż, poza tym w niektórych konkurencjach zamiast 2 dozwolonych zawodników startował tylko jeden Niemiec. Wszędzie gdzie startowali zawodnicy niemieccy, za wyjątkiem tylko 100 mtr i rzutu oszczepem, tam zajmowali oni jedno z 6 punktowanych miejsc. Niemcy odnieśli największą liczbę zwycięstw — 7, zajęli 5 drugich, 5 — trzecich, 3 — czwarte, 3 — piąte i 1 szóste miejsce. Dorobek zaiście imponujący. Przewaga nad najgroźniejszym konkurentem europejskim — Finlandią, była bardziej przekonywująca, aniżeli przed 4 laty w Turynie.

Możliwości niemieckich lekkoatletów wykraczają jednak daleko poza ramy obecnych wyników. Jeśli przyjrzymy się liście najlepszych tegorocznych wyników niemieckich, ze zdumieniem stwierdzimy, że **w stosunku do tych wyników sukcesy w Paryżu były nikłe.**

100 metr **7 Niemców przebiegło w 10,5.** A jedyny przedstawiciel Niemiec w Paryżu Kersch, nie doszedł nawet do finału! Z niemieckimi sprintami dzieje się dziwna rzecz. Niemieccy biegacze doskonale potrafią biegać w sztafecie, indywidualnie nie przedstawiają zaś żadnej większej wartości. Niemcy wygrali krótką sztafetę w doskonałym czasie 40,9, a ta sama sztafeta, która biegła w Paryżu, tylko bez Leichuma, uzyskała na meczu z Ameryką 40,3. Czyżby Niemcy mieli tak fatalne starty, że z rozbiegu potrafią pobiec o 2 klasy lepiej? To nie jest główną przyczyną. W biegu indywidualnym, gdzie cała odpowiedzialność leży na jednym zawodniku, przejmują się oni zbytnio, stąd pochodzi usztywnienie i nadmierne napięcie wszystkich mięśni; a wiadomo jak kolosalne znaczenie, przede wszystkim w biegach krótkich, ma **rozluźnienie.** W sztafecie, w wysiłku zbiorowym, biegną tak jak właściwie powinni biec.

Już lepiej Niemcom poszło na 200 mtr. Jednak i na tym dystansie wystawili oni jednego tylko biegacza Scheuringa, który zajął drugie miejsce za Ossendarpem. **12 Niemców przebiegło w tym roku 200 mtr poniżej 22 sek!**

Czy które państwo w Europie może poszczycić się taką ilością szybkich biegaczy?

Przy ogromnej ilości doskonałych 400-metrowców — **8 poniżej 49 sek.,** startował tylko jeden Linhoff, który musiał ulec Brownsowi i Baumgartenowi. Poza Harbigiem, Niemcy właściwie, nawet w Linhoffie, nie posiadają biegacza 400 mtr na miarę światową.

Jeszcze gorzej aniżeli na 400 jest na 800 mtr. Harbig — to wszystko. A na liście najlepszych figuruje aż **12 nazwisk poniżej 1:55 sek.** Czyżby z tego długiego szeregu dobrych biegaczy mógł wyrosnąć jeden tylko Harbig? Niemcy nie przysłali nawet do Paryża Eichbergera, który przebiegł w tym roku 800 mtr w 1:53 sek.

Na 1500 mtr nie startował w Paryżu żaden Niemiec. Co prawda tu Niemcy nie mają żadnego asa. Ich najlepszy biegacz Mehlhose osiągnął tylko 3:55,6, ale **12 biegaczy przebiegło ten dystans poniżej 4 minut.** Mniej więcej podobna sytuacja jest i na 5 klm. **7 biegaczy przebiegło poniżej 15 minut,** a w Paryżu nie startował żaden Niemiec.

Zdaje się, że coś nie jest u Niemców w porządku z biegami. Gdybyśmy my mieli u siebie taką ilość doskonałych biegaczy na 1,5 i na 5 km, na pewno w tych biegach nie ustępowalibyśmy Anglikom, Finom czy Szwedom.

Syring startował do biegu na 10 klm, gdzie zajął trzecie miejsce. Nadspodziewanie dobrze wyszli Niemcy i w biegu na 3 klm z przeszkodami. Kaindl dobrze podtrzymuje tradycje Domperta; pokonał on obu Finów, ale Szweda już nie mógł dojść. Ten sam Kaindl na meczu Ameryka—Niemcy przed 3 tygodniami był skończonym „łachem". Za wyjątkiem jednego Harbiga wszystkich biegaczy cechuje **ogromna nierówność,** sprinterzy u siebie w domu biegają po 10,5 a w spotkaniu z biegaczami zagranicy przegrywają w 10,8. Długodystansowcy przebiegają 5 klm poniżej 15 min., ale nie potrafią powtórzyć tych czasów wtedy, kiedy zajdzie ku temu potrzeba. Jednak odniesione zwycięstwa w obu biegach sztafetowych wykazują wyraźnie, że Niemcy posiadają ogromny rezerwuar świetnych biegaczy, którzy tylko nie przy każdej sposobności potrafią wyjawić swoje umiejętności.

O wiele równiejsi są Niemcy w konkurencjach technicznych. Przede wszystkim w skokach. W skoku w dal Leichum powtórzył po 4 latach swój sukces z Turynu, wykazując nadzwyczaj równą formę. Niemcy mają **7 skoczków, którzy przekroczyli granicę 7 metrów,** a 4, którzy skoczyli ponad 7,35 mtr. Ciągła rywalizacja Leichum—Long daje doskonałe wyniki.

Zupełnie niespodziewane było **zwycięstwo Suttera w tyczce.** Co prawda po meczu ze Szwecją w Sztokholmie Niemcy uważali Suttera za pewnego faworyta na mistrza. Sutter w tym roku skoczył już kilkakrotnie wysokość 4 mtr. Jeszcze 3 skoczków skoczyło 4 metry, a jeszcze 8 ponad 3,80 mtr. Jest z czego wybierać.

W trójskoku Niemcy nie przedstawiają wybitnej klasy, jednak Kotraschek zdołał uplasować się za 2 Finami na trzecim miejscu. Kotraschek jest jedynym Niemcem, który skoczył w tym roku ponad 15 metrów, ale **11 ma za sobą wyniki ponad 14 metrów.**

W rzutach Niemcy odnieśli 2 zwycięstwa. Oczywiście jedno podwójne — w swej popisowej konkurencji — rzucie młotem. **5 ludzi rzuciło młotem w Niemczech ponad 55 mtr,** a jeszcze 6 ponad 50 mtr. W młocie Niemcy są naprawdę bezkonkurencyjni.

Zupełnie niespodziewanie Woellke przegrał kulę i to nie tylko do Kreeka, ale jeszcze i do Stoecka. Chyba przed rzutem kuli niktby nie uwierzył, że Woellke, który przed tygodniem w Sztokholmie rzucał 16,52 mtr, nie zdobędzie tytułu mistrza Europy. Był to chyba największy zawód dla drużyny niemieckiej. **6 Niemców rzuciło w tym roku kulą ponad 15 mtr,** Woellke miał ponad 16 mtr a Lampert był bardzo bliski granicy 16—15,98 mtr. Ale to nie wszystko, jeszcze 6 miotaczy ma wyniki ponad 14,50.

W dysku Schroeder uzyskał niespodziewane zwycięstwo nad doskonałym Włochem Oberwegerem. Klasa w rzucie dyskiem była tak wyrównana, że musiał zwyciężyć najbardziej równy miotacz. A takim jest Schroeder. W dysku Schroeder i Lampert przekroczyli granicę 50 metrów, a **jeszcze 10 miotaczy rzuciło ponad 45 mtr.**

W oszczepie w ostatnich paru latach Niemcy nie robią postępów. Stoeck raczej obniżył swój lot od czasów Olimpiady. Interesuje się on chyba nie w mniejszym stopniu rzutem kulą — zdobył przecież tytuł vicemistrza. Co prawda 5 oszczepników rzuciło ponad 65 mtr, a jeszcze 6 ponad 63, jednak wyniki te, podobnie do wyników w sprintach, są bardzo nierówne.

Niemcy w tym roku po raz pierwszy wygrali międzypaństwowy mecz ze Szwecją, na mistrzostwach Europy w Paryżu odnieśli przez nikogo niekwestionowane zwycięstwo, do Ameryki co prawda przegrali w stosunku dosyć kompromitującym, ale nie długo Niemcy staną się dla niej groźnym przeciwnikiem. W Europie na pewno im nikt kroku nie dotrzyma.

Stanisław Petkiewicz.

NIEMIECKI ATAK CONTRA POLSKA OBRONA

Przed 70 tysiącami widzów odbył się w Kamienicy piąty z rzędu międzypaństwowy mecz piłkarski Polska—Niemcy.

Aczkolwiek ostatnie występy naszej jedenastki reprezentacyjnej nie należały do najbardziej udanych, opinia sportowa oczekiwała wieści o wyniku spotkania **z dużą dozą optymizmu.** Spodziewano się w każdym razie zażartej, równorzędnej walki.

Rzeczywistość przekreśliła boleśnie te piękne marzenia. Nie udało się wprawdzie Niemcom — którym podobno bardzo o to chodziło — uzyskać zwycięstwa „do kółka", a w pewnym momencie wynik brzmiał remisowo, jednak zarówno wynik cyfrowy — 4 : 1 (1 : 0) jak i przebieg gry wskazały, że w chwili obecnej drużyna polska **nie stanowi dla jedenastki Rzeszy poważnego przeciwnika;** a raczej — że grając tak, jak grali oni w Kamienicy, footbaliści polscy nie zdołają wywalczyć zwycięstwa nad silnym i ambitnym przeciwnikiem; zdołają, co najwyżej, przez pewien czas dzielnie się bronić.

I to nie wszyscy. Ci bowiem, na których wolno było i należało najwięcej liczyć — **zawiedli całkowicie.** Okazało się, że niektórzy nasi reprezentacyjni sportowcy uważają, iż **wysilać się dla honoru sportu polskiego — nie warto.**

Nie wiemy, jakiego rodzaju pobudkami kierowali się pp. Wilimowski i Wodarz, ograniczając się wyraźnie i jakby demonstracyjnie do roli statystów; wiemy natomiast na pewno, iż dla osobników z takim nastawieniem psychicznym nie powinno się w jedenastce reprezentacyjnej więcej znaleźć miejsca. Robią oni zbyt ujemną propagandę: wolno bowiem nie umieć grać, ale nie wolno meczu międzypaństwowego traktować jako przyjemnościowej wycieczki. Szczególnie, gdy się grać umie.

Absolutna bezczynność lewego skrzydła sparaliżowała poczynania ofensywne drużyny polskiej. **Cały ciężar walki spadł tedy na obronę.** Należy wyrazić jej uznanie: przez długi czas wywiązywała się z tego zadania wyśmienicie; musiała wszakże kiedyś ulec, gdyż miała do czynienia z przeciwnikiem zdecydowanym i wytrwałym.

Drużyny wystąpiły w składzie następującym. Polska: Madejski; Szczepaniak, Gałecki; Góra, Nytz, Dytko; Piec I, Piontek, Peterek, Wilimowski, Wodarz. Niemcy: Jacob; Janes, Münzenberg; Kupfer, Goldbrunner, Kitzinger, Hahneman, Stroh, Gauchel, Schön, Pesser. Sędzia p. Wütherich — Szwajcaria.

W pierwszym okresie gry Polacy dość często zagrażali bramce niemieckiej, jednak zbyt długo decydowali się na strzał, gdy zaś do strzału dochodziło — niebezpieczeństwo likwidował świetny Jacob. Polakom udaje się jedynie zapisać na swe konto kilka rogów.

W 35 minucie gry niespodziewanie pada **pierwsza bramka dla Niemców,** ze strzału Gauchla. Wynik 1 : 0 utrzymuje się do przerwy.

W kilka minut po wznowieniu gry **ze strzału Peterka pada wyrównanie.** Jest to jednak ostatni światły moment meczu. Po tym bowiem sukcesie drużyna polska niespodziewanie się załamuje. Gwałtowne ataki Niemców nie są już, jak było dotąd, energicznie powstrzymywane i w okresie kilkunastu minut Niemcy zdobywają **kolejno trzy bramki** ze strzałów Schöna, a następnie dwukrotnie Gauchla. Jest 4 : 1.

Grozę sytuacji powiększa fakt, iż z boiska musi zejść kontuzjonowany Dytko. Wraca on jednak wkrótce na swoje miejsce z obandażowaną głową.

Drużyna polska zdobywa się wreszcie na reakcję i znów sunie pod bramkę Jacoba; czyni to jednak z takim brakiem energii, że uzyskanie pozytywnego rezultatu jest wykluczone.

Rozlega się gwizdek końcowy. Polska przegrała mecz. Nie tyle z powodu słabości swych sił, ile z powodu **braku wiary w te siły...**

„POGOŃ" JEST CZYSTA!

W ostatnim „Biuletynie" lwowskiej „Pogoni" ukazał się artykuł, odpierający zarzuty, postawione temu klubowi w „Oślej łące" z Nr 35 „Sportu Polskiego".

Możemy się tylko cieszyć, że działalność klubu, uznanego za najlepszy w Polsce, wolna jest od plam i zapewniamy „Pogoń" o swej szczerej sympatii.

CIEKAWOSTKI

GRA PSÓW W PIŁKĘ NOŻNĄ

Łatwo sobie wyobrazić, co się musi dziać w duszy zapalonego angielskiego footballisty, który przez przypadkowe okaleczenie pozbawiony jest możności hasania po boisku, a musi ograniczać się do odwiedzania trybun!

Czy trudno się dziwić, że taki przedwczesny weteran nieraz wyciąga z szafy okrągłą skórę i popycha ją nogą po podłodze, by wskrzesić wspomnienie dawnych bohaterskich wyczynów.

Czynił to często i Mr Thomas, okulały gracz słynnego „Sunderlandu". Pewnego razu, znajdujący się w pokoju pies Jack skoczył za piłką i pyskiem odrzucił ją tak, że upadła do nóg Anglika.

Przypadek ten zachęcił Mr Thomasa do wytresowania psa do odbijania piłki stale. Kiedy to mu się nadspodziewanie udało, postanowił złożyć z psów całą drużynę. Do wykonania tego zamiaru trzeba było prawdziwie angielskiej wytrwałości i cierpliwości. Okazało się, że nie wszystkie psy miały „zmysł piłkarski". Zaledwie 9 na 100 uprawiało tę grę z zamiłowaniem. Pozostałe usuwały się z terenu po kilku boleśniejszych dotknięciach piłką i nie dawały się już niczym skłonić do ponownego udziału w zabawie.

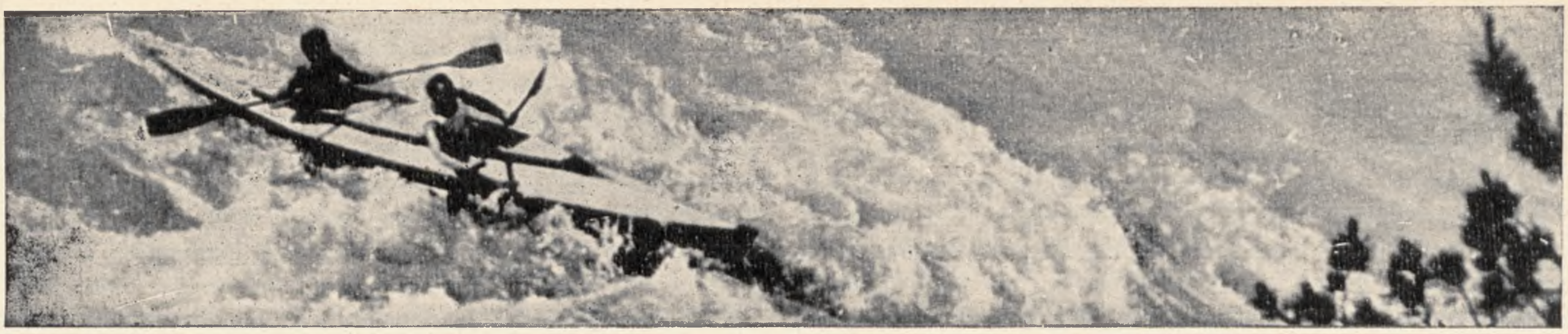
Z drugiej strony, psy, które wykazywały zainteresowanie, trudno było utrzymać na wyznaczonym terenie i przyuczyć do popychania piłki w kierunku przeciwnej bramki.

Uparty Anglik i tego dokonał. Zaczął od bramkarza. Przywiązywał go do bramki tak długo, aż ten przyzwyczaił się od niej nie odchodzić. Najcięższa sprawa była jednak z napastnikami. Wreszcie wpadł nasz Anglik na myśl, aby na poziomej belce każdej bramki umieścić sztabę żelazną, zaopatrzoną w pierścień, swobodnie się przesuwający tam i nazad. Do pierścienia umocował on linę, a do niej piłkę, która w ten sposób nie mogła wychodzić poza boisko. Podobnie zostały poprzywiązywane psy, które w ten sposób przyuczono do trzymania się właściwego miejsca.

Najlepszym dowodem, że psy pojęły swe zadanie dobrze, jest okoliczność, iż pomysłowy Mr Thomas mógł wkrótce przybyć do Londynu, aby zademonstrować szerokiej publiczności regularny mecz, rozegrany przez dwie przeciwne psie drużyny.

Janusz Zaremba.





TURYŚCI... A TURYŚCI

Turystyka jest á la mode. Panie noszą kapelusze, panowie krawaty turystyczne. Na wystawach sklepowych podziwiamy turystyczne kiełbaski, rondle, a nawet odbiorniki radiowe.

Już sama rozmaitość tych przedmiotów wzbudza podejrzenia. Sytuacja staje się jeszcze bardziej naprężona, gdy, w naiwnej prostocie ducha, zapytamy tego i owego, co to właściwie jest, ta turystyka, dla której potrzebne są specjalne krawaty i kiełbasy.

No niby każdy przecież wie. Sam uprawia. Tylko okazuje się, że każdy co innego ma na myśli.

Z niektórymi opiniami, to jeszcze się można załatwić krótko. Tak, odrzuciłem odrazu, jako moim zdaniem niedość dokładne, następujące określenia, dane mi przez kilku znajomych turystów:

— Turystyka, to jeśli się pojedzie do Monte-Carlo grać w ruletę i wraca na koszt konsulatu.

— Turystyka, to wyjazd w sprawach handlowych pociągiem popularnym.

— Turystyka, to jeśli Ubezpieczalnia wysyła do miejscowości klimatycznej na leczenie.

Już bliższe prawdy, lecz jeszcze nie trafiające we właściwe sedno rzeczy wydały mi się definicje następujące:

— Turystyka, to przejażdżka „Bajką" po Wiśle.

— Turystyka, to wycieczka do lasku Bielańskiego z buteleczyną siwuchy i odpowiednią zagrychą.

— Turystyka, to gdy się nie ma forsiaków i gania do biura na piechtę.

A również:

— Turystyka, to jeśli się zwiedza Warszawę w autokarze biura podróży.

Bardziej mi przypadła do smaku, mimo że nieco przydługa, formułka, którą wystylizował pewien mój krewny, profesor chemii nieorganicznej:

— Wrodzona ciekawość, plus specjalne ubranie, plus niewygodny środek lokomocji, połączone z odpowiednią dozą wolnego czasu i niewystarczającymi środkami płatniczymi dają pewną sumę emocji, po której zostaje osad w postaci przykrych wspomnień.

Nie najgorsze było też określenie, dane przez pewnego, leciwego już magistra praw, zatrudnionego w kancelarii Sądu Okręgowego:

— Turystyka, to niezawodowe, a więc nie podlegające karaniu włóczęgostwo, połączone z przygodnym żebractwem, tolerowanym przez prawo zwyczajowe.

Zresztą, wkrótce zrozumiałem, że definicji uniwersalnej nigdy nie znajdę, gdyż za dużo jest rodzajów turystyki, bardzo się między sobą różniących. A więc znamy:

— Turystykę służbową. Na przykład 30-dniowy wyjazd na jednodniową konferencję we Wrocławiu via Rzym i Krym za dietami reprezentacyjnymi.

— Turystykę salonową. Na przykład podróż wozem salonowym, w charakterze delegata (tki) do jury konkursu na najekscentryczniejszy kostium kąpielowy sezonu.

— Turystykę fasonową. Na przykład wyjazd 8-cylindrową limuzyną z domu Aleje Ujazdowskie 99 do domu Aleje Ujazdowskie 101.

— Turystykę szablonową. Wyjazd na Targi Południowo-Północne za kartą uczestnictwa Towarzystwa Popierania Kolei Państwowych.

— Turystyka kombinacyjna. Na przykład wspinaczka wysokogórska bez lin, za pomocą kolejki linowej.

— Turystyka imaginacyjna. Na przykład siedzenie zimą w nieopalonym pokoju i czytanie przewodnika po Florydzie.

Dalsze wyliczanie uważam za zbędne, tym bardziej, że na łamach pisma, które Czytelnik ma zaszczyt trzymać w ręku, wolno mi zająć się bardziej szczegółowo jedynie tak zwaną turystyką sportową, której cechą zasadniczą wydaje się być dążenie do maksimum niewygód.

Co do tej właśnie turystyki sportowej. I w tej dziedzinie nie doszło jeszcze do zjednoczenia narodowego: jeden do sasa, drugi do lasa. Oto leżą przede mną dwa notatniki. Każdy z nich zawiera krótkie sprawozdanie z wycieczki kajakowej. Traf zrządził, że obie grupy turystów przebyły tę samą trasę, a nawet, jak się później przekonamy, spotkały się w drodze. A proszę porównać!

Notatnik A

— Więc postanowione. Jedziemy. Ja, Hela i Bubuś. Kajakiem. To bardzo modne. Starałem się namówić ciotkę Pulcherię, lecz nie chciała. A szkoda. Podobno kajaki są wywrotne; z takim balastem czulibyśmy się pewniej.

•

— Wszystko gotowe. Kupiliśmy kajak, żagiel, motorek, śpiwory, maszynkę spirytusową, termosy. Mamy komplet map sztabowych, podręcznik nawigacji yachtowej, książkę kuchenną. W walizkach po trzy pary bielizny, ja smoking, Hela suknię wieczorową. Dla Bubusia kupiliśmy gumową kość, by się w drodze mógł bawić. No i oczywiście mamy z sobą Baedekera.

•

Notatnik B

— Więc postanowione. Jedziemy. Ja, Antoś i Kubuś. Kajakiem. To najbardziej sportowe. Chciała też i Mela, lecz nie zgodziłem się. Z takim balastem nie przekroczylibyśmy nigdy przeciętnej 50 km dziennie.

•

— Wszystko gotowe. Kajak jak piórko, o liniach aerodynamicznych. Wiosła — cud. Mamy z sobą sekundomierz, tabelę do obliczania szybkości. Map nie bierzemy, by uniknąć przesadnego obciążenia kajaka. Mamy każdy: sweter, koszulkę trykotową, spodenki kąpielowe, pepegi, szczotkę do zębów. Poza tym Antoś wziął nóż i widelec, a ja łyżkę i talerz. To nam starczy.

•

— Obudziliśmy się o 11-tej. Tak wygodnie było spać w tych pierzynach! Hotel rzeczywiście pierwszorzędny. Wczoraj na kolację dali nam arcysmaczny vol-au vent financiere z sosem provencale, no i doskonałą mokkę. Znalazł się też i prawdziwy Benedictine. Po tym wywiązał się bridż, w bardzo miłym towarzystwie. Lecz trudno — trzeba jechać dalej; obowiązek przede wszystkim. Ma właśnie jechać motorówka, będzie nas holować...

•

— Cały dzień dzisiejszy poświęciliśmy na zwiedzanie osobliwości miasteczka. Niewiele wprawdzie jest do oglądania: studnia na placu rynkowym, szkoła powszechna, ratusz z połowy XIX w., dwie restauracje II klasy z wyszynkiem napojów alkoholowych, i to wszystko. Na obiad dostaliśmy nieźłą zupę pomidorową i bardzo twarde rosbeaf'y. Mizeria też była nieszczególna, a o kawie nie ma co nawet mówić. Bubusiowi kazaliśmy dać wątróbki, on ją najwięcej lubi. Hela mówi, że jest już bardzo zmęczoną. Zmniejszymy więc tempo jazdy. Mamy właśnie okazję: rzeką spławiają drzewo. Przywiążemy kajak do tratwy i będziemy płynąć z prądem!

•

— Spotkaliśmy dziś jakichś wariatów, którzy też uważają się za turystów. Właśnie czekaliśmy przed szluzą, gdy nadjechał pełnym pędem kajak, w którym siedziało dwu nagusów. Widząc, że szluza dopiero napełnia się wodą, wyskoczyli z kajaka, wzięli go na plecy i biegiem przenieśli na drugą stronę. Gdy ich zapytałem, dlaczego nie zaczekali tych kilku minut, jeden z nich krzyknął: „nie mamy ani sekundy do stracenia, jesteśmy spóźnieni o 3 kilometry!" Hela tak się przestraszyła, że postanowiliśmy zrobić dzień przerwy.

•

— Nareszcie dojechaliśmy do mety. Trwało to aż 6 tygodni, ale trzeba przyznać bez ogródek: nie ma to jak turystyka. Mnie przybyło na wadze 3 kilo, Heli 5, a Bubusiowi 300 gram!

•

— Wczoraj jeden mój znajomy zaprosił mnie na przystań, chciał pokazać kajak, który chce kupić, poradzić się, jako znawcy. Wyjechaliśmy na rzekę, na wiosłach. Po dwu kilometrach byłem zupełnie skończony. Nigdy nie myślałem, że wiosłowanie jest takie męczące...

— Obudziliśmy się o 5-tej, a wyruszyliśmy dopiero o 5.30, z winy Antosia, który uznał za konieczne myć się mydłem! A przecież postanowiliśmy przebyć dziś 80 km, więc musimy się śpieszyć niezwykle. Zrezygnujemy więc z ciepłego obiadu, a ograniczymy się do surowych jaj, mleka i razowca. Ta przeklęta rzeka ma mnóstwo zakrętów, więc niesposób rozwinąć dużej szybkości. Kiedyż nareszcie dobrniemy do kanału. Tam, na prostej, można będzie wziąć tempo regatowe!

•

— Cały dzień wiosłowaliśmy bez przerwy. Zmachaliśmy się, ale rezultat jest: 87 kilometrów! Przejeżdżaliśmy koło jakiegoś dużego miasta. Nie zdążyliśmy się zapytać, jak się nazywa. Widzieliśmy z daleka jakieś średniowieczne baszty, lecz nie mogliśmy zwrócić na nie większej uwagi, gdyż na rzece było mnóstwo łodzi, które trzeba było zręcznie omijać, nie zmniejszając tempa. Postanowiliśmy dojść do przeciętnej 100 km na dobę; trzeba będzie w tym celu usunąć część bagażu; wysadzimy więc na ląd Kubusia, zrezygnujemy ze szczoteczek do zebów oraz z łyżki i widelca; można przecież jeść palcami!

•

— Spotkaliśmy dziś jakichś wariatów, którzy też uważają się za turystów: właśnie kończyliśmy 37-my kilometr, gdy ujrzeliśmy przy szluzie kajak, holowany przez flisaków. W nim siedzieli: jakiś brzuchacz w białych spodniach, żeglarskim mundurze i czapce, niewiasta w modnym kapelusiku i piesek okryty kołderką. Oprócz tego był kufer i parę waliz. Mieli zwinięty żagiel i nieczynny motorek. Niewiasta czytała jakieś francuskie powieścidło, a facet kładł na burcie pasjansa... Antoś tak się śmiał, że nie mógł wcale wiosłować.

•

— Więc już. 1500 kilometrów w 20 dni — to nie byle co. Mamy się czym pochwalić. Nie ma to jak turystyka. Straciłem wprawdzie 3 kilo, a Antoś 5, ledwie zipiemy, ale 75 km na dzień, to coś znaczy!

•

— Wczoraj dowiedziałem się przypadkowo, że miasto, przez które jechaliśmy, to był Kraków, a wieże, które widzieliśmy przelotnie, należały do zamku Wawelskiego. Trzeba będzie kiedy pojechać tam, aby zwiedzić...

Wiktor Junosza.

NA SIODEŁKU MOTOCYKLA

I.

Od zeszłego roku się to zaczęło. Kupiłem piękny zeszyt i zatytułowałem go marzenie urlopowe nr 1. — podróż motocyklem po Polsce. W zeszycie zapisywałem wszystkie rzeczy, dotyczące tego marzenia: trasa miała biec przez całą Polskę, począwszy od Warszawy, przez Kraków, Zakopane, wzdłuż pasma górskiego do Zaleszczyk, potem przez Wołyń, szlakiem Słowackiego i Mickiewicza z Krzemieńca do Wilna, dalej przez Augustów, Puszczę Białowieską do Warszawy. Potem jeśli czasu stanie jeszcze do Gdyni, przez Biskupin, powrót zaś przez Poznań. Kupowałem mapy, obliczałem kilometry, zapisywałem wyczytane w gazetach wiadomości o stanie dróg, z przewodników turystycznych wynotowywałem hotele, adresy muzeów, wiadomości o rzeczach godnych zwiedzenia. Ale — przyznam się otwarcie, robiłem to bez wielkiej wiary w możliwość realizacji tego marzenia. Ot, marzenie. A urlop upłynie pewno w jakimś pensjonacie. Motocykl, to przecież parę tysięcy złotych, a tu jeszcze nauka, prawo jazdy, a potem praktyka i ewentualny szpital... (Tak zwany Instytut Chirurgii Urazowej, bardzo się to ładnie nazywa, żeby jakoś zasłonić, że tam się zwozi ludzi, pokiereszowanych w różnych wypadkach przeważnie motocyklowych). Tak przeszła jesień zeszłego roku. Nagle przypomniałem sobie, że przecież dawno już zawarłem znajomość z motocyklem i to w sposób bardzo — jakby się tu wyrazić — gwałtowny. Było to kilkanaście lat temu, za czasów studenckich. Brałem udział w organizacji Tygodnia Akademika i loterii fantowej, na którą zakupiono między innymi cennymi fantami i kilka motocykli o małej mocy. Na placu zwanym Rozdrożem, gdzie w przyszłości stanie pomnik Marszałka Piłsudskiego, stała kiedyś, przed wojną, cerkiewka rosyjska, a po jej rozebraniu, kawiarnia z ogródkiem. W tej kawiarni urządzono skład fantów. Ogródek duży, zakończony w tylnej części galeriami krytymi, dokąd można się było schronić na wypadek deszczu. Tu dostarczono motocykle, które należało wypróbować. Kupiliśmy litr benzyny i siadłem na maszynę, zapomniawszy się poinformować, jak się ją zatrzymuje. Silnik zawarczał i nagle poczułem się mniej więcej tak, jak spokojny obywatel, który się raptem znalazł na grzbiecie rozszalałego byka. Nie, nie konia, koń ma jakąś inną zupełnie metodę szaleństwa, kiedy się rozbryka. To był wściekły byk, który wyrywał się naprzód, a ja trzymając się kurczowo kierownicy jak rogów, waliłem prosto w owe kryte galerie, na szczęście puste o tej porze. Lawirowanie przy dużej szybkości między drewnianymi słupkami sprawiło, że mimo listopadowego chłodu wyjechałem z drugiej strony galeryj spocony, jak w upalne południe czerw-

cowe. Ale tu czekała mnie niespodzianka. O jeden ze słupków już na samym wylocie galerii oparta była niska drabinka, na drabince zaś elektrotechnik z koszem pełnym żarówek na plecach wkręcał systematycznie lampy elektryczne, przygotowując teren do wieczornej zabawy akademickiej. Przejechałem mając jakąś niewyraźną mgłę przed oczyma koło owej drabiny, starając się, rzecz prosta nie zadrasnąć jej ani motocyklem, ani sobą. Nie wiem, jak się to stało, ale jadąc dalej, usłyszałem straszliwy łoskot spadającej drabiny, brzęk tłukących się żarówek i niepochlebne opinie o mojej jeździe, wydawane przez pocierającego sobie plecy montera. Nie mogłem niestety obejrzeć się, ani zatrzymać, ponieważ, jak już wspomniałem, nie umiałem tego zrobić. Musiałem zaczekać, aż, jadąc w kółko po ogródku, znów wpadnę w galerie kryte i znowu przybędę na miejsce katastrofy. Tak się też stało. Zobaczyłem ogromną masę potłuczonych żarówek, przewróconą drabinkę, która na szczęście leżała z boku, i tegoż montera, wydającego w dalszym ciągu głośno opinię o mnie, bardzo przykrą i zgoła nie nadającą się do powtórzenia w druku. Cała ta scena mignęła mi szybko przed oczami i znowu pojechałem w kółko po ogródku kawiarnianym. Jeździłem tak proszę państwa dopóty, póki starczyło owego litra benzyny, t. j. około godziny. Na szczęście ówczesne motocykle nie były tak oszczędne w zużyciu paliwa, jak dzisiejsze, bo jeździłbym dłużej. Rozszalały byk — to jest motocykl, zatrzymał się wreszcie i zrobił to właśnie jakimś takim byczym sposobem: nagle i gwałtownie. Otrzepałem się z pyłu i błotka, postawiłem ostrożnie i z niedowierzaniem zdradliwą bestię na właściwym miejscu na wystawie fantów, poczem poszedłem uregulować rachunek za potłuczone żarówki. Monter, który nie ucierpiał wcale, dał się łatwo udobruchać. Tak się zakończyła moja pierwsza jazda na motocyklu. Skąd teraz, po kilkunastu latach przyszła mi znowu chęć spróbowania czegoś podobnego — to pozostanie tajemnicą niezbadanej, jak wiadomo, psychiki ludzkiej. Dość, że zacząłem teraz zbierać prospekty i opisy różnych motocykli, kupiłem książkę o motocyklu, przeczytałem ją, i mogę na wyrywki nazwać i opisać wszystkie części silnika, ramy, instalacji świetlnej, rozróżnić typ, moc, pojemność cylindra, — jednym słowem, teoretycznie zapoznałem się z motocyklem. Silniki spalinowe znałem już dawniej, potrzebna była tylko praktyka. I ta zjawiła się nieoczekiwanie. Jeden z moich znajomych jest świetnym motocyklistą i jeźdźcem samochodowym. Kiedym mu się zwierzył z mego marzenia, zapytał, czy jeżdżę na rowerze. Naturalnie, odpowiedziałem. To umie pan także jeździć na motocyklu — powiada ten specjalista. Manipulacja różnymi przyrządami jest prosta i łatwa, można się jej nauczyć przy odrobinie inteligencji w pół godziny. Pan będzie jeździł na motocyklu po godzinie. To mi dodało otuchy. A że przy tym znakomity mój rozmówca zwrócił moją uwagę na motocykle małe, o niewielkiej mocy, oszczędne i niedrogie, które się właśnie pojawiły na rynku, marzenie moje zaczęło przybierać konkretną formę.

Bo trzeba państwu wiedzieć, że dawniej, kilka lat temu nie było przejścia łagodnego od roweru do motocykla: albo rower, albo ciężki motocykl, o dużej mocy, do prowadzenia którego trzeba mieć prawo jazdy, i co najważniejsze, którego cena waha się od 1.500 do 3.500 złotych. Niedawno stosunkowo pojawiły się rowery z przyczepnymi motorkami, dalej następny etap motoryzacji roweru stanowi coś pośredniego między rowerem i motocyklem, przyrząd zaopatrzony w pedały, służące do rozruszania maszyny i do jazdy w razie uszkodzenia silnika, i wreszcie motocykle małe, o mocy nie przekraczającej 3 koni, o pojemności cylindra do 100 cm sześc., zbudowane identycznie jak motocykl duży. Na tej ostatniej kategorii zatrzymał się mój wybór. Oczywiście jest kwestją do dyskusji, czy lepszy jest motocykl z pedałami, które się kręcą i w razie czego mogą służyć do jazdy, czy też motocykl pozbawiony tych pedałów, który w razie uszkodzenia silnika staje się dość ciężkim a nieużytecznym sprzętem, który trzeba popychać po drodze. W moim marzeniu istniał motocykl. Lojalnie przyznaję, że w kilku miejscach mojej podróży myślałem, że na pedałach jechałoby się, a nie szło, popychając dość ciężką maszynę, ale ponieważ prosty silniczek nie psuł się zupełnie, miałem prowadzenie maszyny zamiast jazdy na niej tylko z powodu jakiegoś objazdu lub fatalnej drogi. Jednym słowem zostałem właścicielem motocykla o małej pojemności, do którego prowadzenia prawo jazdy jest niepotrzebne. Myślałem, że podczas pierwszych prób powtórzy się scena z przed kilkunastu lat, i panicznie bałem się jazdy na podwórzu, którą poczęstowano mnie przy odbiorze maszyny w garażu. Jednak tym razem dokładnie się poinformowałem, jak się zatrzymuje tę maszynę. To też pierwsza próba wypadła dobrze. Nie miałem już tym razem wrażenia, że siedzę na grzbiecie rozhukanego byka. Przydała mi się znajomość silnika i jego sposobów działania. To już pierwsza zdobycz doświadczenia: pamiętajmy poznać nasz motocykl, że tak powiem od środka, od strony konstrukcyjnej, wtedy nauka jazdy pójdzie znacznie prędzej i łatwiej nawet najmniej zaawansowanym. I jeszcze jedno bardzo zdaniem moim ważne spostrzeżenie: dopóki nie panujemy całkowicie nad maszyną, nie wypuszczajmy się na miasto. Ulice miast zapełnione są samochodami, wozami konnymi, motocyklami, rowerami, tramwajami i autobusami, w ruchu wszystko to są rzeczy twarde, kanciaste, bardzo nieprzyjemne w dotknięciu i w uderzeniu. Lepiej zaczynać na pustych drogach, obszernych dziedzińcach, lub placach, potem robić wycieczki za miasto, na szosy, a dopiero po całkowitym opanowaniu wszystkich manipulacyj z maszyną, kiedy te manipulacje stają się już podświadomymi, odruchowymi niejako — można zacząć jeździć po ulicach wielkich miast.

(D. c. n.) **Wacław Frenkiel.**

ROLA TAKTYKI W TENISIE

Każde spotkanie tenisowe czy to w grze pojedynczej czy też podwójnej, oprócz rzucającego się najsamprzód w oczy poziomu technicznego, jaki reprezentują gracze oraz ich warunków fizycznych i walorów moralnych (ambicja, twardość, duch walki), okazuje nam również **poziom taktyczny,** t. j. **planowość i celowość** w przeprowadzaniu akcji, wiodących do zwycięskiego wyniku.

Każda gra jest nie tylko walką dźwięcznych uderzeń rakiety, ale pewnego rodzaju walką dwóch różnych indywidualności, problemem mózgowym.

W dzisiejszym doublu, granym według pewnych ustalonych zasad, gra staje się bardziej mechaniczna, tutaj taktyka musi ograniczyć się do ułożenia współpracy partnerów. W singlu zaś, w walce dwóch jednostek, rola taktyki jest często decydująca.

Naturalnie, przy różnicy kilku klas między grającymi, lepszy technik wygra z łatwością. Ale przy równych mniej więcej poziomach, nawet przy pewnych różnicach niezbyt jaskrawych, znaczenie taktyki będzie ogromne.

„Matką“ i podłożem taktyki jest **umiejętność koncentracji,** umiejętność włożenia w grę całego zasobu swych sił fizycznych i umysłowych. Tylko wtedy możemy planowo przeprowadzać swoją akcję i konsekwentnie dążyć do celu. Gracz więc nerwowy lub wyraźnie nerwowo nie dysponowany siłą rzeczy żadnych planowych i ciągłych akcji nie przeprowadzi. Wówczas mamy typowy przykład „gry bez głowy“. Podstawowym zadaniem taktycznym jest wyszukiwanie najsłabszych stron przeciwnika przy równoczesnym wyzyskaniu w jak największym stopniu swych najmocniejszych atutów. Łączy się to z umiejętnością **narzucenia swego stylu gry** i utrzymania go przez cały czas spotkania.

O lepszej taktyce zadecyduje więc większa odporność, twardość w walce, intuicja i stopień inteligencji gracza.

Gracz dobry taktycznie wyzyska najmniejszy cień słabości przeciwnika i konsekwentnie będzie kruszył słabe miejsca, aż do zwycięstwa. Czy to będzie system gry „na żyłę“, łamiący słabszego nerwowo kontrpartnera, czy gra na szybkość i tempo, czy system wybijania z uderzenia, to wszystko jest tylko jednym z wielu środków repertuaru taktycznego. Chodzi głównie o to, aby to wszystko było użyte **w sytuacjach odpowiednich,** planowo i konsekwentnie. Trzeba bowiem pamiętać, że na wszystko można znaleźć odpowiedź (wprawdzie często spóźnioną) i wypadek zguby od własnej broni nie należy do rzadkości.

Dlatego stopień inteligencji odgrywa tak dużą rolę, pozwala bowiem na zastosowanie akcji najbardziej korzystnej.

W okresie hegemonii Ameryki w tenisie, gdy grał Tilden i Johnson, jaskrawy przykład zwycięstwa, osiągniętego tylko dzięki umiejętnej taktyce, dali Francuzi Borotra i Brugnon, podczas meczu o puchar Davis'a w spotkaniu doublowym pary Tilden—Johnson contra Borotra—Brugnon w Paryżu, na kortach Rolland Garros'a. Para amerykańska jako szybsza i lepsza technicznie, była faworytem spotkania.

Tymczasem Francuzi wybrali taktykę zmęczenia przeciwników. Wykorzystując sprytnie ogromną długość wybiegów kortu, lobowali nieskończoną ilość razy, będąc cały czas w defenzywie. Amerykanie również nieskończoną ilość razy pięknie i mocno smeczowali. Duże wybiegi pozwalały 2 muszkieterom francuskim chwytać nieprawdopodobne wprost piłki i — lobować znowu. Tak trwało przez cały czas dwóch pierwszych setów, wygranych przez U. S. A.

W rezultacie jednak ciągłe smecze tak Amerykanów wyczerpały, że następne trzy sety oddali Francuzom, przechodzącym z defenzywy do ostrego ataku.

Po meczu tym Ameryka założyła protest w Federacji Międzynarodowej, kwestionując zbytnią długość wybiegów, ale pozostało to bez skutku, ograniczenia bowiem długości wybiegów nie ma w przepisach.

Taktyka francuska, oparta na znajomości warunków lokalnych (duże wybiegi i wolny kort) przyniosła w rezultacie zwycięstwo.

Może wydawać się dziwnym, że często gracz wybitnie ofenzywny, który atakuje przez cały czas spotkania i „goni“ przeciwnika po placu, w rezultacie mecz przegrywa. Tak przegrał Tilden z Cochetem i Lacostem, będąc cały czas w ofenzywie.

Taktyka defenzywna opiera się w pierwszym rzędzie na **niezwykłej regularności i pewności przerzutu,** wyprowadzającej atakującego z cierpliwości i łamiącej go nerwowo. Wygrywa się nie zaletami własnej gry, ale błędami przeciwnika.

Tarłowski należy do typu graczy ofenzywnych i drajw posiada b. mocny i ostry, a jednak z defenzywnym Czechem Sibą przegrał bez walki w trzech setach. Pozwolił sobie narzucić styl gry i począł grać na długą wymianę. Tarłowski bombardował, jego piłki były 2 razy mocniejsze, Siba odbijał — dwa razy lżej. W końcu „bomba“ grzęzła w siatce. Była to typowa wygrana, oparta na błędach przeciwnika.

Gracz o taktyce defenzywnej musi posiadać niezwykle **pewny przerzut** z głębi kortu i specjalną zdolność wytrzymywania gry na „żyłę“.

Inaczej jest z tenisistą o taktyce ofenzywnej, dającej obraz błyskotliwej i bardziej emocjonującej gry.

Chodzenie za uderzeniem, a więc wypady do siatki, stałe atakowanie i męczenie przeciwnika, przyśpieszanie do maximum szybkości piłki i tempa gry (co daje wczesne bicie piłki i gra wolejami) — oto typ gracza ofenzywnego.

Takimi graczami byli Vinez, Borotra, Perry, Cramm, a obecnie jest Kalifornijczyk Budge.

Taktyka ofenzywna dyktuje takim graczom wypady do siatki w momentach **sprzyjających** lub specjalnie **przygotowanych.** A więc po „armatnim“ i plasowanym serwisie, po ostrym i długim drajwie, po szybkim woleju. Potem zaś przeważnie kończy grę niezawodny smecz lub wolej przy siatce.

Błędu chodzenia do siatki po **krótkiej i miękkiej** piłce nie wolno popełniać (co niestety u nas do rzadkości nie należy), jak również po źle lokowanym i niepewnym serwisie.

Wypad do siatki wówczas ma swoją wartość, gdy następuje w odpowiednio wypracowanym i przygotowanym momencie. Wprawdzie często ryzykuje się w grze, ale należy to czynić jedynie w momentach najbardziej sprzyjających.

Najpewniejsza, lecz najtrudniejsza, jest taktyka **defenzywno - ofenzywna,** polega ona na początkowym zbadaniu przeciwnika, wyszukaniu słabych punktów i końcowym konsekwentnym, zwycięskim atakowaniu. Cała sztuka polega na wynalezieniu odpowiedniego momentu do przejścia z defenzywy do ataku.

Taką taktyką może rozporządzać gracz wysoce opanowany i rutynowany, o du-

żym repertuarze uderzeń i twardy nerwowo.

Takim typem gracza jest Kukuljevic starszy, groźny dla najlepszego gracza (porażka Budge'a na turnieju w Białogrodzie). Ma jednak tę samą wadę co Hebda, jest mianowicie bardzo kapryśny w swej formie.

Często podczas meczu gracz musi **zmieniać taktykę,** szukając sposobu na „zgryzienie" przeciwnika, aż wreszcie trafi na środek najbardziej skuteczny.

Stąd wniosek, że gracz mało inteligenty dobrym taktycznie nigdy nie będzie, stanie się raczej „wyrobnikiem" w grze, mniej lub więcej szczęśliwym, zależnie od formy i kondycji.

Odpowiednie rozłożenie siły w walce również jest jednym z zadań umiejętnej taktyki.

Ciężkie pięciosetowe spotkanie wymaga od gracza niekiedy atletycznego wprost wysiłku. Wytrzymać ciężar tej walki i odpowiednio rozłożyć siły, to zadanie nie łatwe. Często trzeba oddać seta tylko po to, by zaczerpnąć oddechu i mieć siłę do decydującej rozgrywki w następnym.

Przy równorzędnych wartościach i siłach graczy, najmniejsze załamanie oznacza pierwszy krok do porażki i zbliża przeciwnika do zwycięstwa. To znowu jest kwestia twardości psychicznej, odporności i ambicji.

Z. Dall.

WYWIAD Z „KUSYM"

Kierownik referatu sportowego „Polskiego Radia" red. Włodarkiewicz przeprowadził niedawno przed mikrofonem warszawskim wywiad z Januszem Kusocińskim, wobec powrotu dawnego mistrza olimpijskiego na bieżnię wysoce aktualny. Najciekawsze wynurzenia Kusocińskiego poniżej drukujemy.

— Czy pan dużo trenował podczas pobytu w Finlandii?

— W ciągu 7 dni mego pobytu w Finlandii odbyłem 10 treningów, to znaczy, że trenowałem nieraz 2 razy dziennie — rano pracowałem nad wytrzymałością biegając na bieżni dłuższe dystanse na stadionie w Helsingforsie, albo przełaje w lasku, na terenie którego znajduje się stadion, wieczorem zaś trening mój polegał na wyrobieniu szybkości. Polegało to na tym, że biegałem jakiś dystans przeplatając tempo raz wolno — raz szybko.

— A poza treningiem właściwym na bieżni, w jaki sposób wykorzystał pan swój pobyt w Finlandii?

— Przede wszystkim masaż i łaźnia. Masaż sportowy fiński jest znany w całym świecie. Wartość jego wszyscy sportowcy doświadczyli na sobie. Masaż fiński jest ciężki i powiedziałbym głęboki. Ręka masażysty fińskiego dociera do najgłębszych warstw mięśniowych usuwając z nich produkty zmęczenia. W czasie masażu człowiek przeżywa męki katowanego, z chwilą zaś ukończenia masażu czuje się odrodzonym. Łaźnia jest drugim środkiem treningu wszystkich zawodników fińskich. Stosują ją raz lub dwa razy w tygodniu, masaż zaś codziennie po każdym treningu. W Finlandii dobry masażysta znaczy to samo powiedziałbym co trener.

— Czy zainteresował się pan sprawą przyszłych Igrzysk Olimpijskich, które odbędą się w 1940 roku właśnie w Finlandii w Helsingforsie?

— Owszem. Rozmawiałem na ten temat z sekretarzem fińskiego Komitetu Olimpijskiego oraz innymi działaczami sportowymi. Po zatwierdzeniu wszystkich planów Finowie już od pierwszego września mieli przystąpić do ich realizowania. A mają jeszcze dużo do roboty. Basen pływacki, tor kolarski a przede wszystkim wykończenie stadionu reprezentacyjnego. Do tego dochodzi jeszcze sprawa kwater dla zawodników i gości oraz założenie kabli telefonicznych i telegraficznych, łączących cały świat z Helsinkami. Trzeba pamiętać, że Helsinki mają zaledwie 350.000 mieszkańców. Muszą więc zrobić olbrzymi wysiłek, aby przyjąć i odpowiednio ulokować tych kilkanaście czy kilkadziesiąt nawet tysięcy gości, nie mówiąc o zawodnikach, którzy się zjadą do stolicy Finlandii na Igrzyska Olimpijskie.

— Bardzo Panu było przykro, że nie mógł Pan bronić barw Polski na meczu w Oslo, ani też wyjechać na mistrzostwa Europy do Paryża?

— Oczywiście. Mój powrót na bieżnię kosztował mnie tyle pracy i wysiłku, że nie potrzeba dobierać specjalnych słów, aby określić, czym była dla mnie niespodziewana choroba. Nie wytrąciła mnie ona jednak z równowagi, aczkolwiek zmuszony byłem przerwać trening a nawet zrezygnować z końca tegorocznego sezonu. W swoim zamiarze powrotu na bieżnię wytrwam, wierząc niezbicie, że to było ostatnie ogniwo w długim łańcuchu moich niepowodzeń. Postanowiłem przez zimę racjonalnie przygotować się do przyszłego sezonu, do którego chciałbym być przygotowanym jak za dawnych czasów.

— Przyszły sezon to jest rok 1939. A jakie są Pana zamiary w stosunku do Olimpiady?

— W pierwszym rzędzie myślę o tym, aby przyszły sezon zastał mnie w takiej kondycji, bym mógł wygrać na jednych poważnych zawodach, a dalej będzie jak Bóg da.

— Czy Pański wiek nie przeszkodzi w dalszej karierze sportowej?

— Mam coprawda 32 lata, ale pocieszam się tym, że taki Salminen, będąc o 4 lata ode mnie starszy i mając pięcioro dzieci potrafi śróbować wyniki, o których młodzież może tylko marzyć.

REFLEKSJE PIŁKARSKIE

Przystępując do poniższego artykułu znajdujemy się w dość skomplikowanej sytuacji. Piszemy go w przededniu meczu z Niemcami w Kamienicy. Nie wiemy jaki padnie tam wynik i jaka będzie forma drużyny i graczy. Tymczasem jako temat zadano nam: ustosunkowanie się do dwu dalszych spotkań: z Jugosławią i Łotwą, które odbędą się już przyszłej niedzieli w Warszawie i Rydze.

Nie podjęlibyśmy się w tych warunkach zadania, gdyby nie przeświadczenie, że mecze z 25 b. m. traktować należy, jako **coś zupełnie odrębnego,** niezależnego od wyniku kamienickiego. Wyda się to w pierwszej chwili absurdalne! Jak bowiem przy opracowaniu składów na najbliższą przyszłość wyrzec się doświadczeń z meczu z Niemcami? Czyż w wypadku zwycięstwa nie należałoby automatycznie zastosować zasadę „never change...“ (nigdy nie zmieniać zwycięskiego zespołu)?!

Otóż właśnie, że nie! Uważamy, że dwa najbliższe mecze są **wyjątkową wprost okazją wypróbowania nowych sił, poczynienia pewnych zmian i wystąpienia z nowymi koncepcjami.**

Chcielibyśmy naturalnie, by oba mecze zakończyły się zwycięsko, jednak warto czasami zaryzykować nawet chwilową stratę, jeśli przyczyni się ona do ugruntowania przyszłości!

Znajdujemy się prawie że w roku przedolimpijskim, reprezentację naszą czekają w najbliższej przyszłości poważne zadania. Czas więc najwyższy zabrać się do poszukiwań i ulepszeń, któreby jeszcze bardziej zwiększyły bitność lub conajmniej zniwelowały wady.

Z Jugosławią gramy od wielu lat! Wyniki były różne. Ostatnie dwa spotkania wykazały jasno, że Jugosłowianie nie mają żadnego powodu zadzierać nosa, jesteśmy klasą jeśli nie lepsi, to conajmniej równorzędni. Ewentualna przegrana z zaprzyjaźnionymi piłkarzami z Belgradu i Zagrzebia nie będzie katastrofą. Nie podważy naszego prestiżu, szczególnie gdy z góry będzie wiadomo, że mecz wykorzystaliśmy dla pewnych ważnych dla nas prób, że potraktowaliśmy go z premedytacją **eksperymentalnie.**

Bilans nasz z Łotwą jest wybitnie dodatni i to jest właśnie przyczyną, dla której po dzień dzisiejszy przeciw Łotyszom wysyłamy w bój drugi garnitur. Wyda się może, że tu właśnie byłaby najlepsza sposobność użycia nowych sił. Nie zgodzimy się z tym. A przynajmniej — nie we wszystkim!

Przeciw Łotwie powinien grać „Team Młodych“, wzmocniony ewentualnie w kilku punktach starszymi, przeciw Jugosławii wystawić należy „Team Starszych“, ożywiony w niektórych pozycjach świeżą krwią.

Mówiąc realnie wyobrażamy sobie, że w Warszawie da się możność wystąpienia graczom, którzy — przynajmniej w teorii — dają gwarancję równorzędności z konkurentami mającymi stały abonament w drużynie narodowej.

Bez względu na wynik z Niemcami chcielibyśmy więc w meczu przeciw Jugosławii ujrzeć nowe postacie na prawym skrzydle i w środku pomocy. Są to postulaty minimalne, które mogą się jeszcze zwiększyć, jeśli okaże się w Kamienicy, że np. forma Piontka jest wciąż kameleonowa. Wysunęliśmy na plan pierwsze dwa punkty, gdyż nie ulega wątpliwości, że są one obsadzone **niedostatecznie silnie** i należy bezwzględnie szukać graczy, którzy potrafiliby — jeśli nie dzisiaj, to już w najbliższym czasie — wypełnić je znacznie lepiej.

Pozostaje jeszcze, jak zwykle, sprawa kierownika napadu. O ile Peterek spisze się dobrze, należałoby go może zostawić, by stwierdzić czy był to tylko chwilowy wyskok, czy też spóźniony rzeczywisty rozkwit. W przeciwnym wypadku uważamy, że na stadionie warszawskim powinien znaleźć się bezwzględnie Wostal, naturalnie jeśli kontuzja nogi będzie całkowicie usunięta. Innego wyjścia nie ma. Nie widać niestety w tej chwili dalszych kandydatów, którzy mieliby jakie takie szanse objęcia już w najbliższym czasie kierownictwa reprezentacyjnego napadu.

Tego rodzaju „męża opatrznościowego“ szukać wypadnie właśnie w Rydze. **W stolicy Łotwy powinni grać „młodzi“.** Nie należy się łudzić, by kiedyś w pełnym komplecie przejść mieli oni do pierwszej reprezentacji! Chodzi więc w danym wypadku o odkrycie najbardziej dojrzałych talentów, którymi w ciągu najbliższych 18-stu miesięcy możnaby stopniowo uzupełniać luki, jakie mogłyby powstać w drużynie narodowej. I z tych właśnie względów bylibyśmy przeciwnikami wystawienia przeciw Łotwie jednego ze starszych kierowników napadu. Wyobrażamy sobie, że gracz bardziej doświadczony powinienby się znaleźć raczej na łączniku, by wesprzeć młodego kolegę, któremu powierzy się odpowiedzialną funkcję środkowego.

Na stadionie ryskim oczekujemy również dwu obrońców pierwszej rezerwy (nazwijmy ich po imieniu: Twórz i Gemza) oraz obecnego rezerwowego bramkarza (Mrugalla), któremu należy dać okazję samodzielnego wystąpienia.

Gdy chodzi natomiast o środkowego pomocnika, to problem ten jest tak bardzo aktualny, że dotychczasowy rezerwowy powinienby się znaleźć **właśnie w Warszawie,** dla ostatecznego stwierdzenia, czy w potrzebie można na nim rzeczywiście polegać. Metoda ustawicznego zwlekania z odważną decyzją doprowadzi do tego, że będziemy nadal kręcić się w kółko, narzekać i biadać bez widocznego efektu.

Pozycję centralną w pomocy „ryskiej“ możnaby obsadzić piłkarzem starszym, bardziej doświadczonym, aczkolwiek wolelibyśmy i w tym wypadku jednego z nowicjuszy, by przekonać się ile jest rzeczywistego talentu.

Na wstępie wspomnieliśmy o braku odpowiedniego prawoskrzydłowego. I w tym wypadku w Warszawie wystąpić musi ktoś nowy! Chcemy wreszcie przekonać się, czy nie ma w Polsce rzeczywiście gracza, który by panował lepiej nad piłką i dzięki temu brał większy współudział w montowaniu akcyj zaczepnych. Bylibyśmy też stanowczo przeciwni, by skrzydłowy odsunięty chwilowo z pierwszego garnituru znalazł się nagle w drugim. Nie miałoby to najmniejszego celu. Byłoby to znów **dreptaniem w miejscu, zamiast** zaryzykowaniem jakiejś dalszej próby. Ludzi, których zna się dostatecznie, nie ma potrzeby raz jeszcze brać pod lupę, lepiej już wyzyskać czas dla wybadania jakiejś nowej figury.

Rzuciliśmy tu z grubsza kilka przykładów, dla lepszego zobrazowania idei, jaka przyświeca nam z uwagi na przyszłe zadania piłkarstwa polskiego. Motywem przewodnim jest wyzyskanie dwu równoczesnych spotkań dla wypróbowania **jak największej ilości piłkarzy,** z ograniczeniem starych wypróbowanych firm do najkonieczniejszego minimum. Radykalny krok może narazić na utratę zwycięstwa czy nawet dwu zwycięstw, jednak pogoń za tanimi sukcesami jest mniej ważna, niż ugruntowanie przyszłości piłkarstwa naszego na szerszych, bardziej solidnych podstawach.

Observer.



JAN O. RZUTOWSKI. 32

BILL PATRICK

Zabrzmiał gong, obwieszczając początek pierwszego starcia. Przeciwnicy rzucili się ku sobie z impetem. Posypały się ciosy, zadane z maksimum energii. Prawa Bill'a z suchym trzaskiem wbiła się w bok Battlinga Stani. Ten zgiął się wpół; zanim jednak ucichł na trybunach szmer, wywołany tym niespodziewanym ewenementem, długi prosty Stani'ego wylądował na podbródku Patricka, osadzając go w miejscu.

Na najwyższej kondygnacji rozległ się, po polsku, chóralny okrzyk:

— Wal go Stasiek! Wal go Stasiek! Polska górą! Polska górą!

Bill podniósł trochę głowę, rzucił ku trybunom gniewne spojrzenie. Stani skoczył naprzód. Dwa sierpowe przebiły gardę Billa, otarły się o jego szczękę. Patrick zachwiał się i zaczął się cofać ku narożnikowi.

— Bij nie żałuj! Bij nie żałuj — zahuczały trybuny.

Stani nie słuchał. Wpił się wzrokiem w zamglone oczy przeciwnika; prawa jego pięść, cofnięta do tyłu, wisiała jakby w powietrzu, czekając na moment odpowiedni, by spaść na podbródek Bill Patricka.

Bill uśmiechnął się; było to jednak raczej bolesne wykrzywienie ust. Gdy Stani wreszcie wypalił — Patrick zręcznym ruchem uskoczył, a w chwili, gdy przeciwnik się ku niemu zwrócił, zdzielił go ponownie potężnym hakiem w żebra. Stani głośno jęknął. W tej chwili gong oznajmił koniec pierwszej rundy.

— Ma cholernego kopa, ale go zrobię, szepnął Stani do sekundanta.

— Strasznie twarda sztuka, psiakrew, powiedział Bill do O'Connora; nigdy nie myślałem...

— Musisz teraz pójść na całego. Jeśli go nie zrobisz w tej rundzie, może być źle... spuchniesz...

Od samego początku drugiego starcia Bill atakował jak szalony. Prawe i lewe sypały się jak z rogu obfitości. Mało z nich jednak dochodziło do celu. Stani krył się umiejętnie, a umiał również wykorzystać każdą nieuwagę, każdą nieostrożność przeciwnika. Dopiero na kilkanaście sekund przed końcem potężny prawy Patricka wylądował wreszcie tam, gdzie należało — na samym końcu podbródka Stani'ego. Kolana Polaka ugięły się, nie upadł jednak; gong zastał go w pełnej gotowości do dalszego boju.

— Taki cios wytrzymać, to... ja nie wiem, zgrzytnął zębami Bill.

— Trzeba zmienić taktykę, zawyrokował O'Connor. Trzeba go ośmielić i wyczekać odpowiedniego momentu...

— Co pan wygadujesz! Im dłużej trwa walka, tym słabsze będą ciosy...

— Dzięki miss Irmie! Radzę, jak umiem. Nie podoba ci się — rób jak chcesz... Nie trzeba się było kłócić z Thompsonem... Ja umywam ręce. Powtarzam tylko: musisz wygrać, bo inaczej jesteś skończony, i ja też!

W drugim narożniku rozmowa nosiła spokojniejszy charakter:

— Przez trzy rundy będę teraz w defensywie. Niech się zmęczy. Wtedy przejdę do ataku.

— Uważaj tylko na jego prawą...

— Nie bój się. Widziałeś — mogę ją wytrzymać, choć trzeba przyznać, że gościa z takim ciosem jeszcze nie spotykałem...

Trzecia runda wypadła na korzyść Bill Patricka, który wciąż atakował, podczas gdy Stani się ograniczał do powstrzymywania jego zapędów.

Sprawozdawca „New York Heraldu" wystukał na maszynie do pisania, którą trzymał na kolanach:

„Wspaniała walka. Dwóch pięściarzy, mających każdy dynamit w pięści — rozgrywa mecz w płaszczyźnie taktycznej. Reklama, jaką zrobiono Stani'emu, była całkowicie zasłużona. Ten boy jest wielkim pięściarzem. Wykazała to już pierwsza runda; teraz na froncie jest Bill Patrick, lecz ataki jego, jak dotąd, nie przynoszą oczekiwanych rezultatów. Trafiła kosa na kamień. A Battling Stani najoczywiściej nie wprowadził jeszcze do walki wszystkich swych rezerw..."

Sprawozdawca „Boxing World" zanotował:

„Widzę już stąd finał. Bill Patrick nie zdoła przełamać żelaznej obrony Europejczyka, zużyje się na jego stalowym pancerzu, a wtedy — wtedy Battling Stani wyciągnie z zanadrza owe fantastyczne zasoby energii agresywnej, które podziwialiśmy na treningach. Zakładam się 10 : 1, że ten chłopiec będzie mistrzem świata...

...Bill Patrick, mówiono powszechnie za kulisami — ma się ku końcowi. Twierdzenie to było przedwczesne. Dziś jest jeszcze ogromną klasą. Kilka sierpów wspaniale plasował, a poza tym atakuje z temperamentem rzadko spotykanym. Nie jego wina, że znalazł się w obecności prawdziwego fenomena".

Czwarta runda spotkania przypominała we wszystkim trzecią: Bill atakował, Stani trwał w defensywie, dbając wszakże o to, by tempo ani na chwilę nie spadło.

W przerwie Bill rzekł do O'Connora:

— Ta runda zadecyduje. Jeśli go nie dostanę teraz — przegram.

— Nie możesz przegrać, nie śmiesz przegrać, nie masz prawa przegrać, krzyknął O'Connor. To byłoby z twojej strony... to byłoby po prostu świństwem!

— Już pora. Przechodzę do ataku, oznajmił Battling Stani.

(C. d. n.)

TYDZIEŃ PO TYGODNIU

Lekkoatletyczne mistrzostwa Europy pań w Wiedniu w ogólnej punktacji przyniosły zespołowi polskiemu **wicemistrzostwo Europy,** za bezkonkurencyjnymi Niemkami.

Jak było do przewidzenia **Walasiewiczówna wygrała biegi na 100 i 200 mtr** (ten ostatni o 9 mtr przed Niemką Krauss i w znakomitym czasie 23,6 sek. gorszym od rekordu świata o 0,2 sek.). Gorzej powiodło się jej w skoku w dal, gdzie zajęła drugie miejsce wynikiem 581, za Niemką Praets — 588. Druga Polka w tej konkurencji — **Słomczewska** zdobyła wynikiem 5.15 ósme miejsce.

W rzucie kulą **Flakowiczówna nie zawiodła pokładanych nadziei** i zajęła 3 m. rzucając 12.55, za Schroeder i Mauermayer (N.).

W dysku **Cejzikowa** mimo poważnej kontuzji ręki zdołała wywalczyć b. dobre w tym wypadku 5 m. wynikiem 36.51.

W sztafecie 4×100 mtr Polki, w składzie **Gawrońska, Książkiewiczówna, Kałużowa i Walasiewiczówna** sprawiły miłą niespodziankę, uzyskując **znakomity wynik 48,2 sek.,** lepszy o pełne 2 sek. od dotychczasowego rekordu Polski, oraz zdobywając **wicemistrzostwo,** za Niemkami.

Sensacyjny wynik w skoku wzwyż osiągnęła Niemka **Ratjen — 170 cm,** co jest oczywiście nowym rekordem świata.

Szczegółowe wyniki:

100 mtr: 1) **Walasiewiczówna 11.9,** 2) Krauss (Niem.) 12, 3) Koen (Holandia) 12.

Skok w dal: 1) Praets (Niemcy) 588, **2) Walasiewiczówna 581.**

80 płotki: 1) Testoni (Włochy) 11,6, 2) Gelius (Niemcy) 11,7.

Kula: 1) Schroeder (Niemcy) 13.29, 2) Mauermayer (N.) 13.27, 3) **Flakowiczówna 12.55; Cejzikowa z wynikiem 11.68** zajęła siódme miejsce.

200 mtr: 1) **Walasiewiczówna** 23.6, 2) Krauss (N.) 24.4, 3) Koen (Hol.) 24.9.

Skok wzwyż: 1) Ratjen (N.) 170, 2) Csak (Węgry) 164.

Oszczep: 1) Gelius (N.) 45.58, 2) Pastors (N.) 44.14, 3) Krueger (N.) 42.69, **6) Walasiewiczówna 36.33.**

Dysk: 1) Mauermayer (N.) 44.80, 2) Sommer (N.) 40.95, **5) Cejzikowa 36.51.**

Sztafeta 4×100: 1) Niemcy (Voigt, Krauss, Albus, Kuehnel) 46,8, **2) Polska** (Gawrońska, Książkiewiczówna, Kałużyna, Walasiewicz) **48,2,** 3) Włochy 49,4. Anglia, która przyszła trzecia w czasie 48,3, zdyskwalifikowana.

•

Bokserska reprezentacja Warszawy odniosła piękny sukces, wygrywając podczas tournée trzy kolejne spotkania, a co najważniejsze, zdobywając ogólne uznanie i sympatię.

W pierwszym meczu **Warszawa pokonała Kopenhagę 10:6,** przy czym punkty zdobyli: Rotholc — bijąc Fredriksena, Czortek — Jespersona, Kowalski — Mathiesena, Kolczyński — Jacobsena i Doroba — Lehmana. Przegrali: Sobkowiak, Ożarek i Sowiński.

Drugie spotkanie w Kopenhadze **wygrali Polacy** również w stosunku **10:6.** Tym razem punkty zdobyli: Rotholc — po wysokim zwycięstwie z Bertelsenem, Czortek — bijąc również wysoko Nielsena, Kowalski — Franka, Kolczyński — Petersena i Ożarek — nokautując w I r. Jensena. Przegrali — Sobkowiak, Doroba i Sowiński.

Ostatnie wreszcie spotkanie, **z reprez. Jutlandii** 10:6, przyniosło zwycięstwa Rotholca, Czortka — przez t. k. o w II r. Kowalskiego, Kolczyńskiego — t. k. o. I r. i Sowińskiego.

•

W Łodzi odbyły się międzynarodowe zawody kolarskie z udziałem 4 kolarzy duńskich, z mistrzem Danii **Nielsenem** na czele. Mecz polsko-duński w sprintach, biegu na 2000 i z dwóch startów **wygrali goście 59:38.** Nieźle spisali się dwaj polscy sprinterzy **Kupczak i Świątkowski,** którzy uzyskali po 3 zwycięstwa przy 1 porażce, przy czym Kupczak pokonał m. inn. Nielsena.

•

Na mistrzostwach U. S. A. w Forest Hills **Jędrzejowska przegrała** nieoczekiwanie z Amerykanką **Fabyan** 1:6, 4:6. (Jak wiadomo Jędrzejowska pobiła Fabyan w tym roku już 3 razy!).

•

Korespondencyjny mecz strzelecki **Polska—Estonia** zakończył się zwycięstwem Estonii w stosunku **6088 : 5586 pkt.**

•

Rekord szybkości samochodowej został ostatnio dwukrotnie pobity.

Na wyschłym dnie jeziora Słonego Anglik **Cobb** uzyskał na maszynie „Napier" **563 klm/godz.** bijąc niedawno ustanowiony rekord kpt. Eystona.

Następnego dnia **kpt. Eyston** zrewanżował się, uzyskując na swym „Thunderbolt" **575 klm.**

•

W międzypaństwowym meczu piłkarskim Irlandia pokonała Szwajcarię 4:0, a Dania zremisowała z Norwegią 1:1.

•

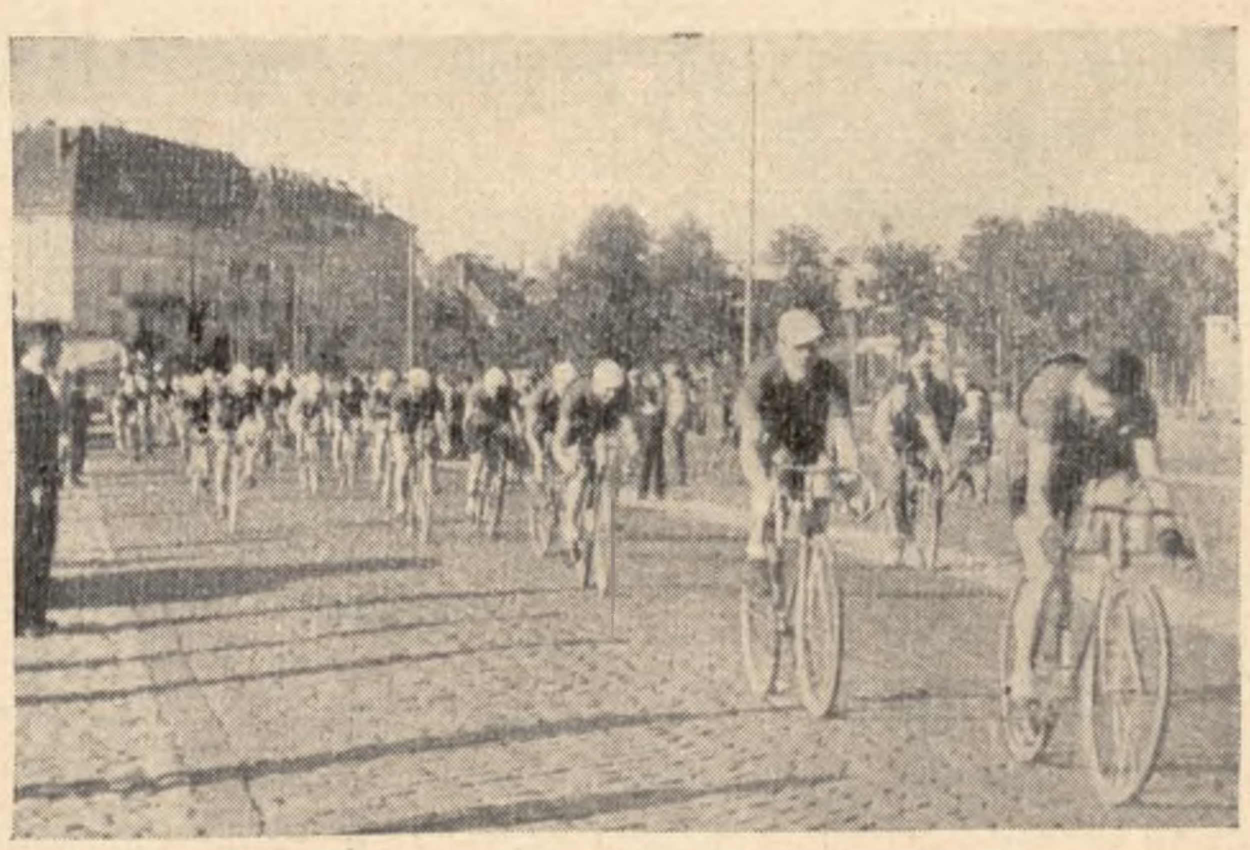
W Warszawie zmarł znany działacz sportowy ś. p. Stanisław Poroszewski, członek zarządu K. S. „Polonia" oraz zarządów PZPR-u, WOZHL-u, WOZPR-u i innych.

Pogrzeb zasłużonego i powszechnie lubianego działacza odbył się w sobotę przy licznym udziale publiczności, z przedstawicielami władz sportowych i klubowych na czele.

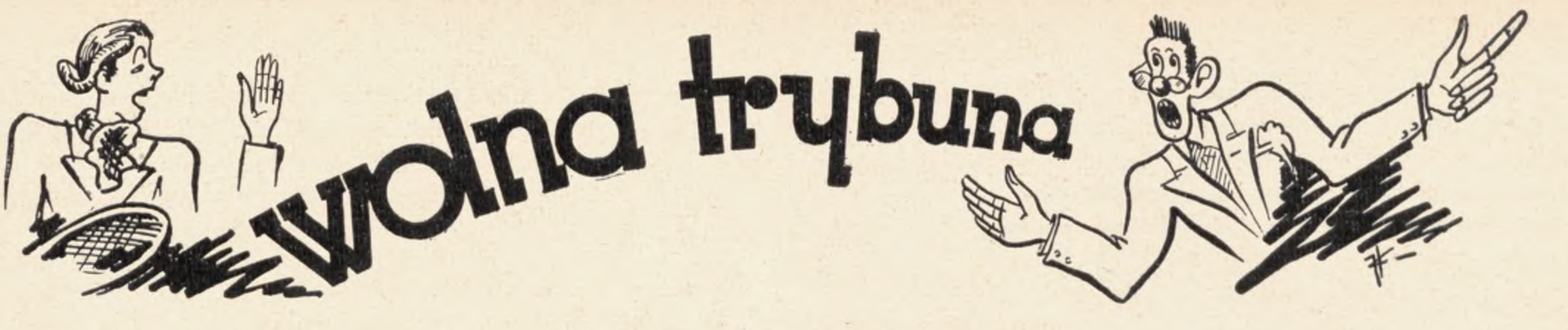
Ś. p. Stanisław Poroszewski odznaczony został akurat w dniu swojej śmierci Srebrnym Krzyżem Zasługi za pracę na terenie wych. fiz. i sportu.



Gen. Zamorski na zawodach sportowych Policji Państwowej.



Na trasie wyścigu Warszawa—Radom—Warszawa.



POŁAWIACZE PEREŁ SPORTOWYCH.

W niezbyt długiej historii naszego sportu znamy jubileusze X lub V-lecia należenia zawodników do klubów, jubileusze 300, 200 lub 100-ego meczu w barwach tej samej drużyny lub tym podobne piękne dowody **przywiązania do barw klubowych.** Ale wypadki tego rodzaju są coraz rzadszym zjawiskiem na naszej niwie sportowej i wkrótce przyjdzie taki czas, że jubilat, który będzie mógł pochwalić się 5-cio, nie mówiąc już o 10-cioletnim pobycie w tym samym klubie — zyska miano prawdziwego unikatu. Coraz bardziej bowiem zanika przywiązanie do barw macierzystego klubu i coraz częstsze są wędrówki naszych „asów" od klubu do klubu.

Jest tajemnicą poliszynela, że nasi sportowcy kierują się dziś w wyborze klubu **lepszymi warunkami materialnymi,** a znalazłszy lepsze „dniówki" czy „tygodniówki" (w odróżnieniu od „premii" za pomyślnie rozegrany mecz) bez wahania opuszczają klub. Przywiązanie ideowe, jakie było udziałem pionierów sportu w Polsce niepodległej, obce jest większości obecnych „gwiazd". Myliłby się, ktoby jako przyczynę obecnego stanu rzeczy wskazywał zubożenie materialne sportowców; raczej w zubożeniu duchowym dzisiejszych „asów" doszukiwać się należy przyczyny bezceremonialnych zmian klubów.

Winę ponoszą tutaj te kluby, których **krótkowzroczna polityka** ściąga „na lepszy wikt" (często pozornie), co lepszych zawodników. Różne formy przybiera ten wabik na sportowców. Częściej jest nim posadka, która **kończy się wraz z utratą formy** zawodnika („Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść"), z reguły zaś jest nim zwrot kosztów za „masaże" itp.

Ostatnio wyspecjalizował się w poławianiu pereł sportowych warszawski klub „Syrena". Klub ten o tak... niewinnej nazwie spędził niejeden sen z powiek różnym działaczom klubowym, którzy poświęciwszy wiele trudu nad wychowaniem sobie zawodników, tracili ich, kiedy ci zaczęli zbierać laury na arenie sportowej.

Zaczęło się, bodajże, od lekkoatletów. Nasze perły sportowe: Noji i Staniszewski zasilili szeregi „Syreny". Potem przyszła kolej na kolarzy: Napierała, Michalak, Starzyński et consortes — same tuzy. Towarzystwo sportowe „first class", ale trzeba jeszcze dokompletować z innych działów sportu, a więc bokserzy: Kolczyński, Sobkowiak, Kozłowski. Na razie wystarczy. Same asy, prawda? Przecież to prawdziwa reprezentacja olimpijska.

Bądźmy niedyskretni i **zajrzyjmy za kulisy.**

Jakieś 2 miesiące temu ukazało się w 2 czy 3 dziennikach (darujcie im, nieuświadomionym) oświadczenie kilkunastu członków „Syreny", samych wybitnych naszych zawodników, w którym to oświadczeniu podpisami stwierdzili, że należą do „Syreny" li tylko dlatego, że w klubie tym znajdują naprawdę dobrą opiekę i dobre warunki do uprawiania sportu. Pikanterii temu oświadczeniu dodawał fakt podpisania się na pierwszym miejscu Kolczyńskiego, który **na kilka godzin przed tym...** wystąpił z „Fortu Bema".

Otóż i Kolczyński. Stawiał pierwsze kroki w „Forcie Bema", miał tam pracę, aż wyrósł na boksera dużej klasy. Mocne pięści nie zawsze idą w parze z mocnym charakterem. Kolczyński dał się uwieść „Syrenie".

Jego koledzy „po fachu", Kozłowski i Sobkowiak wyrośli na dzielnych bokserów w „Okęciu". Klub dał im nie tylko ogładę, ale i dobrą posadę, fach do ręki i możność awansu. Ale znów „Syrena" wystąpiła na widownię. Sytuacja jest taka, że obaj otrzymali pracę od „Syreny" (gorszą niż mieli w tamtym klubie) — a klubowo przynależni są do „Okęcia", które **nie chce dać im zwolnienia,** słusznie broniąc swych praw. Sprawa tak daleko zaszła, że jeśli „Syrena" nie da pozwolenia tym bokserom na start w barwach „Okęcia", to „Okęcie" nie stanie do rozpoczynających się mistrzostw drużynowych.

„Syrena" odbiera klubom ich wychowanków i demoralizuje zawodników. Co mają, w tym stanie rzeczy, robić kluby, które nie chcą licytować się z „Syreną"? Liczyć na ideowe węzły w dzisiejszych czasach, kiedy kwitnie tak wspaniale **rzemiosło sportowe** — doprawdy trudno.

I te... tramwaje warszawskie mają jakiś dziwny urok. Dla posady motorniczego rzuca się tokarkę, bierze się rozbrat ze szlifierką, aby zostać konduktorem. Pchają się do „Syreny" sportowcy i okupują czerwone wozy. Przypatrzcie się dobrze pp. konduktorom i motorniczym. Poznacie w nich wybitnych lekkoatletów, kolarzy, bokserów...

A kiedy się to skończy? Złośliwi twierdzą, że jak... wyruguje się tramwaje z granic miasta.

Żart na stronę. Obecna polityka „Syreny", która postawiła sobie za zadanie, jak to wynika z faktów, zgrupować u siebie najlepszych zawodników **kosztem innych klubów** — jest szkodliwym objawem w stołecznym sporcie.

Z. Weiss.

KRYZYS W. G. I D.

Dotychczas głośne były wybryki i przewinienia zawodników, za które zresztą spotykała ich sprawiedliwa kara. Wywoływały one w zdrowej opinii publicznej reakcję w postaci troski o dobro i przyszłość naszego sportu. Ale fakt, że władze stawały na wysokości zadania, umacniał w społeczności sportowej wiarę w ich poczucie sprawiedliwości i praworządności.

Dopiero sprawa częściowego ułaskawienia Barana zadała silny cios tej wierze i podała w wątpliwość u większości sportowców obiektywizm i sprawiedliwość W. G. i D. Konsekwencją tego jest silne obniżenie autorytetu władz, co stanowi pierwszy krok do anarchii.

Bo nie da się ukryć ani zaprzeczyć, że W. G. i D. skompromitowało się w opinii publicznej. Wszyscy dobrze jeszcze pamiętają jaką karę ponieśli za spoliczkowanie gracza na boisku Pazurek i Zimmer. A przecież te wybryki zdarzyły się w czasie zwykłego meczu ligowego w znanej powszechnie atmosferze punktowej. Baran zaś spoliczkował jako reprezentant Polski reprezentanta zaprzyjaźnionego z nami narodu Węgierskiego.

Nawet najbardziej lojalny wobec W. G. i D. sportowiec, zestawiwszy fakty dawniejsze z obecnym, musi pomyśleć sobie, że W. G. i D. albo ocenia obecnie spoliczkowanie gracza, nawet reprezentanta innego narodu, za małe uchybienie, albo interpretuje on odnośny przepis protekcyjnie ze względu na osobę i przynależność klubową ukaranego, albo wreszcie, że pozwolił na siebie wpłynąć możnym siłom zewnętrznym. Tak czy owak decyzja W. G. i D. wywołała w kraju oburzenie i niesmak. Wartoby dowiedzieć się co o tym myśli opinia węgierska? Praw-

dopodobnie nic pochlebnego o polskiej karności i praworządności w sporcie.

A tymczasem kroi się nowa afera, która W. G. i D. łatwo może dobić w opinii publicznej. To sprawa Słoty. Według informacyj prasowych jest niewątpliwym, że gracz ten nie był jeszcze uprawniony do występowania w barwach „Ruchu" w meczu ligowym. Różnica zdań co do tego jak postąpić w tej sprawie mogłaby istnieć tylko między „Ruchem" i „Pogonią" specjalnie zainteresowanych w tym. Ale dla W. G. i D. nie ma tu miejsca na wątpliwości i wahanie. W. G. i D. ma być rzecznikiem interesów bezwzględnej sprawiedliwości i wykonawcą nakazu, wynikającego dla niego z ducha i litery przepisu zupełnie jasnego.

Zwłoka w ferowaniu wyroku budzi jedynie niepokój w świecie sportowym, powoduje zbyteczne napaści i insynuacje i wyrabia W. G. i D. opinię instytucji, która zamiast stać na straży ładu i sprawiedliwości jako władza nadrzędna, daje się użyć do rozgrywek między klubami.

A do tego nie wolno dopuścić.

E. Marion.

CO robią inni?

R. Hveger robi wciąż jedno. Poprawia rekordy!

A propos panny Ragnhildy prosimy uprzejmie pp. składaczy i korektorów o uwagę przy imieniu. A więc nie — **Rang;** tylko zawsze i niezmiennie — **R a g n...**

Otóż panna **Ragnhilda** Hveger tym razem zepsuła humor Belgijkom. Po manifestacjach hołdowniczych, z okazji zwycięstw londyńskich, doszła ona do wniosku, że wypada odwdzięczyć się jakoś swemu rodzinnemu miastu Helsingör i postanowiła obdarzyć je nowym 25-tym z kolei rekordem świata. Wybrała przestrzeń 1000 yardów, na której nie widniało jeszcze jej nazwisko. Dla towarzystwa dodano jej konkurentów męskich, którzy mieli ją podciągnąć na tym uciążliwym dystansie. Skończyło się na tym, że p. Ragnhild ciągnęła za sobą płeć silną z długodystansowym mistrzem Danii Jörgenem Wulfem na czele. Jakże mogło być inaczej skoro Hveger poprawiła rekord Belgijki Caroen (13:03) o pełnych 27 sekund na 12:36,00! Drugi był Wulf 12:40,5, a za nim Petersen.

Bezkonkurencyjna Dunka nie długo wytrzymała przy „jubileuszowym" rekordzie, gdyż w kilka dni później zdobyła rekord świata nr 26. a tym razem na 200 m w imponującym czasie 2:21,7. Ofiarą była Holenderka Reitje van Veen.

W obecnej chwili wszystkie rekordy świata w krawlu obsadzone są przez dwie panie, Ragnhildę Hveger i den Ouden, z zastrzeżeniem, że Holenderka posiada ich tylko cztery (100 m, 100 y, 220 y, 300 y) a reszta 12 należy do Dunki!

•

Ragnhild Hveger jest fenomenalna, kto wie jednak, czy w krótkim czasie nie będzie zmuszona walczyć zacięcie o utrzymanie swej supremacji. W Londynie pojawiła się nagle Belgijka **Caroen.** Była po Ragnhildzie drugą najszybszą kobietą świata. Obecnie nadchodzą już meldunki o poważnych sukcesach, które dystansują... belgijskich kolegów. Panna Caroen poprawiła rekordy krajowe na 1000 m w czasie 14:31 (Hveger 14:12,3) i 1500 m w czasie 21:50,7 (Hveger — 21:45,7).

•

Dziennikarze nie znajdą wcześniej spokojnego snu, aż spenetrują dokładnie, co myśli i co zamierza zrobić p. Hveger jako osoba prywatna. Liczy sobie teraz 17 wiosen i świat stoi przed nią otworem.

Panna Ragnhild jest jednak w enuncjacjach na prywatne tematy bardzo wstrzemięźliwa. Odpowiada półgębkiem i stąd trzeba zadowolić się raczej domysłami. Podobno ma zamiar za rok objąć zawód nauczycielki pływania. Nie myśli jednak o wyrzeczeniu się laurów zawodniczki przynajmniej do czasu, w którym znajdzie się lepsza.

Pytanie tylko, jak ustosunkują się duńskie władze sportowe, z chwilą gdy p. Ragnhild zacznie zarabiać nauką pływania. W Kopenhadze nie uznają żartów z paragrafem o amatorstwie.

•

Duńczycy są amatorami najczystszego chowu. Stąd zastój w postępach sportowych w stosunku do innych krajów i stąd też nader rzadki udział zawodników duńskich na wielkich międzynarodowych imprezach.

Na temat przesadnej wprost skrupulatności na tym polu krąży obecnie następująca anegdotka.

Duńczycy zdecydowali się zrobić wyłom w isolacji i wysłać „aż" dwu atletów na mistrzostwa świata do Paryża. Nie pojechał ani wyśmienity pięciokilometrowiec Siefert, ani miller Rose, ani Hansen, który ma na sumieniu 10,6 na 100 m. Wydelegowano natomiast tyczkarza Larsena i płotkarza Thomsena, któremu polecono również mierzyć się w tyczce.

Kierownikiem dwuosobowej ekspedycji został Larsen, ponieważ w myśl przepisów związek „nie miał prawa delegować specjalnej osoby".

Larsen dostał na rękę 150 duńskich koron (ok. 180 zł) dla siebie i towarzysza z tym, że wedle obliczeń skarbnika, miało mu po powrocie zostać do zwrotu ok. 10 koron.

„Ekspedycja" duńska udała się w drogę bez jakichkolwiek dalszych przygotowań, bez znajomości miasta i języka. Zanim skończył się trzeci dzień zawodów byli już obaj wycieczkowicze bez grosza w kieszeni. Na szczęście zaopiekował się nimi kierownik Norwegów, umożliwił przeżycie i powrót.

Prasa skandynawska zapytuje teraz uszczypliwie czy Larsena i Thomsona czeka dyskwalifikacja, ponieważ zużyli **pełnych 150 koron.**

•

W Tallinie rozegrano przed kilkunastoma dniami piłkarski turniej bałtycki, w którym, wbrew oczekiwaniom Łotyszów, zwyciężyli — Estończycy. Łotysze skarżą się gorzko. Piszą też o obrzuceniu kamieniami kibiców ryskich, którzy w liczbie około 1000 osób wybrali się do stolicy Estonii. Najbardziej winni są — naturalnie sędziowie, którzy „nie dopuścili" do sukcesów zespołu łotewskiego.

Jak widać cały świat (przynajmniej piłkarski) stworzony jest na jedno kopyto. Za niepowodzenia odpowiedzialni są wszyscy, tylko nie — nieudolni gracze!

•

Zatarg szwedzko-fiński odżył znowu z okazji... Olimpiady. Komitet Olimpijski uchwalił, że oficjalnym językiem w czasie Igrzysk w Helsinkach będzie fiński i angielski.

W Finlandii dziesięć procent ludności przyznaje się do narodowości i języka szwedzkiego (przy zachowaniu pełnej lojalności w stosunku do państwa); jeszcze niekorzystniej przedstawia się sprawa w Helsingforsie, gdzie dwie trzecie ludności posługuje się szwedzkim. Z tych stron wysunięto więc żądanie, by obok języka fińskiego równouprawniony był też szwedzki, który jest zrozumiały dla przedstawicieli całej Skandynawii. Prasa szwedzka w Finlandii powołuje się i na to, że większość wycieczkowiczów rekrutować się będzie z krajów Północy, wobec czego należy zrewidować uchwałę językową.

•

Kustaa Pihlajamäki liczy 38 lat. Był on 20 razy mistrzem Finlandii w zapasach, skroń jego wieńczył parokrotnie laur olimpijski, posiada też szereg tytułów mistrza Europy. Kustaa Pihlamajäki i kolega jego z wagi średniej Pikkussari otrzymali od towarzyszy sportowców przydomek „świętych". Obydwaj zapaśnicy ci nie wzięli w ciągu całego życia do ust ani kropli alkoholu, nigdy też nie walczyli w niedzielę przed południem, uważając, że było by to profanacją godzin nabożeństwa.

•

Mistrzostwa Europy w Paryżu przeszły już do historii, niemniej jednak ożywiają one wciąż jeszcze rubryki pism fachowych, wzbogacając kroniki o nowe anegdotki i prawdziwe zdarzenia.

Anglicy gniewali się na Woodersona, że nie startował w sztafecie 4×400, na której punkty liczyli z całą pewnością. W związku z tym znany dawny płotkarz, obecnie główna figura Angielskiego Związku Lekkoatletycznego, lord Burghley miał się wyrazić:

„Wolę dżentelmenów zawodowców typu Ladoumegue, niż amatorów jak Wooderson".

•

Dokoła Woodersona i Harbiga dokonuje karkołomnych tańców prasa niemiecka. Przed zawodami, jak długo nie wiedziano czy Wooderson nie zdecyduje się przebiec również 800 m, zachowywano pochwały godną wstrzemięźliwość. Obecnie, gdy Wooderson startował tylko na 1500 m, fachowcy niemieccy „nabrali pewności", i twierdzą z bezapelacyjną nieomylnością, że w walce z Harbigiem byłby na pewno przegrał. Jako umocnienie tezy ma służyć fakt, że Wooderson, mimo zapowiedzi nie poprawił rekordu światowego na 1500 m.

Teraz przypomniano sobie również nagle, że swój fenomenalny rekord świata na 800 m ustanowił on nie na jakimś meetingu, lecz biegając samopas, ściślej mówiąc ze sztafetą, która naturalnie nie zabiegała mu drogi. Niemcy twierdzą więc, że gdyby Wooderson biegł z rzeczywistą konkurencją, nie uzyskał by zapewne swego wspaniałego czasu.

Być może, że filozofowie niemieccy, którzy przed Paryżem jakoś o tym nie mówili, nie chcąc zapewne drażnić wilka, mają rację. Być może, że w walce z niezawsze fair przeciwnikami Anglik nie osiągnąłby 1:48,4 (własny rekord świata), a tylko 1:50. Wystarczyłoby to również, by zwyciężyć doskonałego Harbiga.

Zresztą doprawdy nie wiadomo po co te dyskusje! Przecież nie kończy się jeszcze świat i znajdzie się sporo okazji do zmierzenia sił.

•

Osendarp jest najszybszym białym człowiekiem. Okazuje się, że karierę sportową rozpoczął Holender bynajmniej nie w lekkiej atletyce lecz — w piłce nożnej.

Piłkarze holenderscy mają chwalebny zwyczaj, który obowiązywał też za dawnych dobrych lat w Polsce, zajmować się w chwilach wolnych lekką atletyką. W czasie takiego rekreacyjnego biegu wpadł on w oko kolegom z bieżni i ci nie wypuścili go już więcej spod swojej opieki.

Mimo wspaniałych sukcesów, jakie przyniosła mu lekka atletyka, zachował Osendarp sentyment dla piłki nożnej i zapowiada, że kiedyś, gdy nie będzie czego szukać na bieżni, wróci na zieloną murawę.

Dziś liczy Osendarp 22 lata, boimy się, że VUC, klub ligi holenderskiej długo czekać będzie na powrót swego szybkiego prawoskrzydłowego!

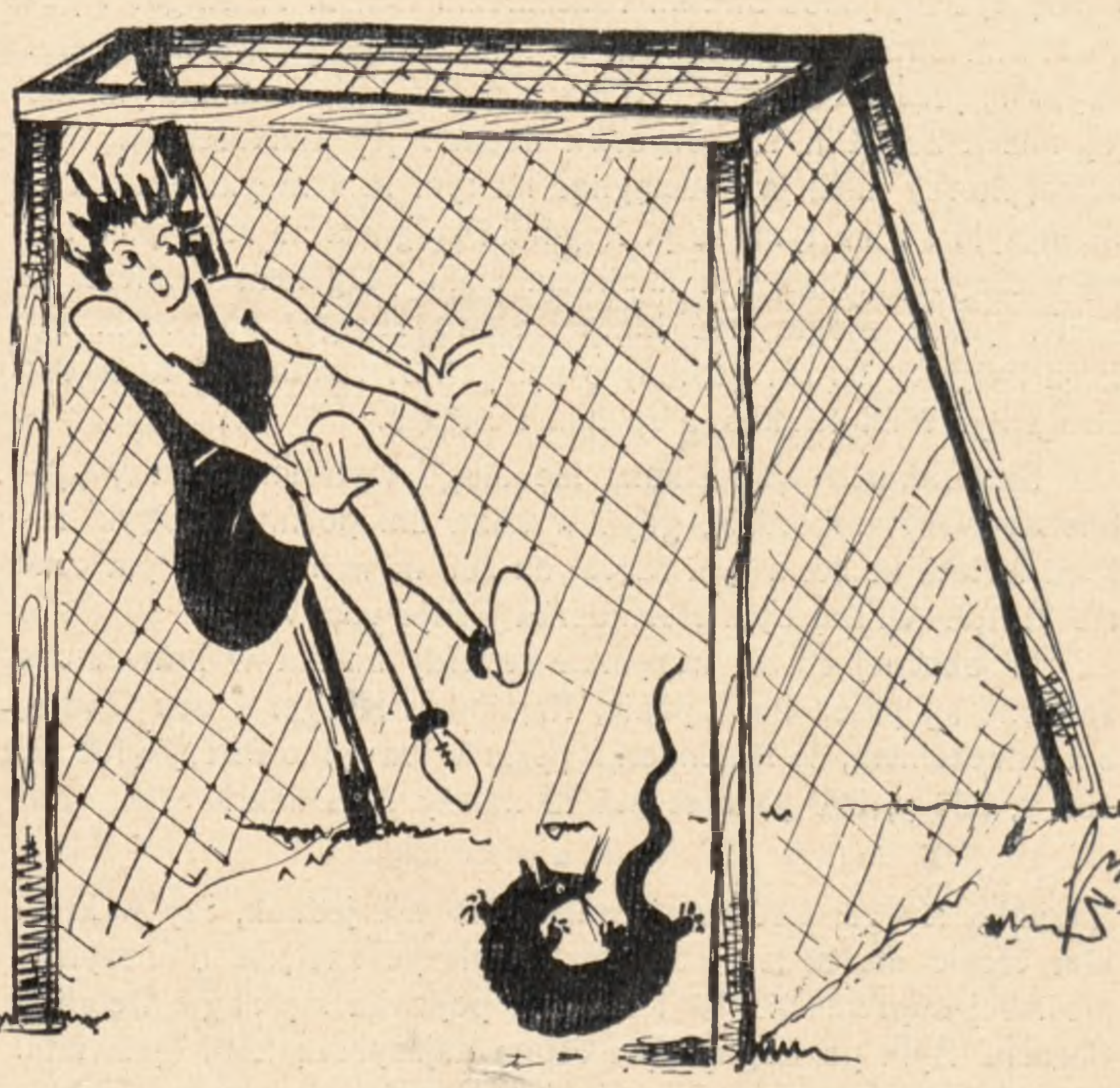
•

Dnia 26 października obchodzi Angielska Federacja Piłki Nożnej swe 50-lecie. Z okazji tej ma się w Londynie odbyć mecz Kontynent — Anglia. Wie się o tym od dawna i dawno też ustalony został termin. Obecnie okazuje się, że zestawienie drużyny kontynentalnej napotka na poważne trudności, bo Włosi przypomnieli sobie nagle, że 23 października mają przecież mecz ze Szwajcarami, a trudno, by gracze ich już w trzy dni później walczyli w Londynie.

23 października jest zresztą jeszcze więcej meczów, gra np. Polska z Norwegią. Jeśli nie jesteśmy na tyle zarozumiali, by wierzyć w wybór większej ilości polskich graczy do teamu kontynentalnego, to dwu adeptów znajdujemy w drużynie Norwegii (Kvammen, Brustad).

Dwa ciężkie mecze w ciągu trzech dni plus podróż to naturalnie niemało, jednak wydaje nam się, że wiedziało się już o tym w chwili, gdy ustalono termin, to też dzisiejsze obiekcje mają posmak jakichś specjalnych, ukrytych celów.

HUMOR



Strzał „szczurem" jest dla hazenistki nie do obrony.

Redakcja, tel. 8-63-66 i Administracja, tel. 9-95-62, Warszawa, ul. Myśliwiecka 3

Prenumerata roczna — 12 zł, dla klubów zrzeszonych w Zw. Pol. Zw. Sport. — 10 zł, kwartalna — 3 zł, miesięczna — 1 zł.
Pocztowe konto rozrachunkowe Nr 118 **Konto P. K. O. 13680**

Ogłoszenia: przed tekstem 1/1 300 zł, 1/2 150 zł, 1/4 80 zł, 1/8 50 zł. Za tekstem 1/1 250 zł. 1/2 130 zł, 1/4 75 zł, 1/8 40 zł.

Redaktor przyjmuje od 13 — 15.

REDAKTOR: WIKTOR JUNOSZA-DĄBROWSKI WYDAWCA: „KULTURA FIZYCZNA" sp. z ogr. odp.

Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA" W-wa, Sienna 15, tel. 675-93